MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VI. Nr 17 WARSZAWA, 24 KWIETNIA 1926 R. CENA NUMERU 80 gr.

LIKWIDOWANIE OBYCZAJU

WIELKIE zaniepokojenie budzi w całym świecie cywilizowanym uderzający w oczy fakt upadku dobrych obyczajów. Wiążemy zwykle to zjawisko z wojną, która obluzowała stosunki nietylko obyczajowe, ale i społeczne i polityczne. Widzimy jaskrawy obraz tych zmian w Rosji na całym obszarze stosunków; gdzieindziej ocalał, i to cząstkowo, ustrój państwowy, nadwyrężył się zaś dawny społeczny; wszędzie zaś zaszły znaczne zmiany przynajmniej w układzie obyczajowym. Rozpoczyna się już tu i owdzie w krajach romańskich restauracja i ta musi naprawić społeczeństwa aż od spodu, do podstaw moralnych.

Fakty historyczne potwierdzają wyrażany już nieraz w tem miejscu pogląd, że układ psychiczny społeczeństwa jest jeden i przeto życie polityczne pozostaje w ścisłej zależności od stanu moralnego. Jest to widoczne, że zanik rygoru obyczajowego następuje na mocy jakiejś ogólnej sankcji, przedostającej się do świadomości ludzkiej, iż nastał czas wolności, — teraz wszystko wolno. Wiemy, jaki efekt wywołuje ta sankcja w dziedzinie społeczno-politycznej, ale jeśli chodzi o obyczaje, to ta dziedzina jest najbliższem, prawie bezpośredniem i najpowszechniejszem polem działania tego hasła „wszystko wolno“. Rozluźnione obyczaje przygotowują podłoże do zwątlenia obowiązku wobec społeczeństwa i państwa, i odwrotnie — niech tylko ustrój się rozluźni na rzecz samowoli, wtedy niema już granic nierządu w obyczajach. Jedno z drugiem idzie w parze i potęguje się wzajemnie, w życiu bowiem wszystko jest w ruchu i bez równoległości, wszystko oddziaływa na siebie ruchem zwrotnym. Faszyzm, żeby uratować Włochy jako państwo, musiał regulować stosunki społeczne i baczną zwrócić uwagę na obyczaje. Odwrotnie siły wrogie, które dążą do zniszczenia narodowi państwa, majstrują nad rozluźnieniem stosunków społecznych, a jednocześnie wszelkiemi sposobami usiłują nadwyrężyć jego budowę moralną i obyczajową.

Owo powojenne obluzowanie stosunków normalnych w sferach, marzących o podboju Europy obudziło nadzieję, że na tem tle uda się przeprowadzić likwidację dawnej cywilizacji, opartej na psychice narodu, jako osobowości. Widzimy, jak szybko ta ukryta dotąd myśl się ujawnia, jakby się śpieszono, żeby społeczeństwa nie wyzdrowiały przed jej zrealizowaniem. Faszyzm, będący niczem innem, jak reakcją zdrowia na rozkład, przeraża kombinatorów, którzy ułożyli plan rozbicia społeczeństw na atomy, niepomne swych dziejów, i stworzenia nowego ustroju europejskiego conajwyżej z „regjonalnemi“ odcieniami. Do tego celu prowadzi droga odwrotna od tych wszystkich dróg, które uważaliśmy za wiodące do odrodzenia. Jednostka musi zlikwidować swoją indywidualność, stać się czemś płynnem, musi przebyć otchłań uniwersalizmu, zrzucić z siebie wszystko, co trąci tradycjonalizmem dawnej kultury, zapomnieć dawnych „przesądów“, wypalić w sobie przez rozpustę wszystkie nabyte w nałogu wieków predyspozycje nacjonalne i dopiero wtedy stanie się godną nowego życia, opartego na powszechnej wolności. Te same operacje odbyć musi każde zorganizowane narodowo społeczeństwo, żeby się wycofać ze swego szlaku dziejowego, który mu się wydawał przyrodzoną orbitą, zlikwidować swoją politykę indywidualną, aby się stać terytorjum, godnem regjonalnego równouprawnienia w jednem wielkiem społeczeństwie europejskiem.

Stają dziś przeciwko sobie dwa światopoglądy: jeden kombinowany, natury utopijnej, drugi realny, historyczny, oparty na prawie przyrodzonem. Jeden żydowsko-masoński, drugi faszystowski. Pierwszy ma charakter uto-

pijny, ale narazie ze względu na sprzysiężone działanie jednostek i grup wpływowych, praktyczne rezultaty jego oddziaływań są doniosłe, opóźniają bowiem normalny rozwój stosunków przez błąkanie świadomości dziejowej społeczeństw. Ale bodaj niebezpieczniejszy jest efekt tej propagandy w dziedzinie życia obyczajowego. Europa długo będzie pamiętała spustoszenia, które tutaj porobią Żydzi, dający w tym kierunku folgę swoim popędom pod osłoną generalnego programu walki z nacjonalizmem. Ta część programu, polegająca na niszczeniu tradycyjnie ustalonych obyczajów, wykonywana jest z szatańską znajomością słabości natury ludzkiej i ta część programu wykonywana jest bodaj najrealniej. Przeminie pamięć Genewy i Locarna, zostanie smutna tradycja zdziczenia obyczajów, z którego długo trzeba się będzie leczyć.

Ślady pozostaną głębokie, bo działanie na człowieka było kombinowane z wielu stron. Człowiek był rozkręcany i społecznie, żeby nie uznawał hierarchji, i filozoficznie—żeby się zrzekł indywidualności na rzecz wszechności, i religijnie — żeby przez pracę wewnetrzną nie zabijał w sobie zwierzęcia, i kulturalnie — żeby zapomniał swego rodu i wyzbył się stylu; żeby nic, co historyczne, nie obowiązywało go, żeby zapomniał przywiązania do dawnych form czy w obyczajach, czy w sztuce. A to wszystko—aby był, jak *tabula rasa*, gotów na przyjęcie nowej treści i form nowego życia, pozanarodowego.

Zacząć trzeba od aktu wiary, że to nowe życie już już nadeszło, że narody już się zrzekają swojej osobowości i swych szlaków dziejowych, że stają na gruncie solidarności, dalekie od agresywności i porachunków (nawet od myśli o obronie) z tytułu sprzeczności interesów. Po tym akcie wiary, musi nastąpić rozbrojenie, wiara bowiem bez uczynków jest martwa. A dalej samo już się stanie, co się ma stać. Ale żeby to wszystko było trwałe, trzeba przerobić duszę, „meljorować" ją. Do tego dąży dzisiejsza filozofja, walcząca z megalomanją narodową i kościołem katolickim, poezja i sztuka plastyczna, mordująca tradycje artystyczne, wreszcie sztuka życia towarzyskiego, niszcząca rodzinę aryjską, jako siedlisko idei narodowej.

Pisarze francuscy uderzyli na alarm z powodu rozpusty, celowo szerzonej przy pomocy nakazów mody. We Francji widać na rzut oka, jak ściśle życie moralno-obyczajowe wiąże się z interesami narodu. Folgowanie hasłom użycia i wygody nie jest sprawą, jakby się zdawało osobistą.

Człowiek musi zwalczać słabość swojej natury i społeczeństwo musi mu w tem pomagać przez wychowanie i rygory, aby naród mógł żyć cywilizacyjnie w oparciu o mocne państwo. Życie to przymus, jako warunek rozwoju i szerzej pojętej wolności. Wszystko, co jednostkę rozkręca z przymusu, gubi cywilizację narodową.

Z tego stanowiska szerzona w naszych czasach rozwiązłość obyczajów musi być uznana za zjawisko groźne. Górującem znamieniem upadku obyczajów jest to, co nowe sankcje obyczajowe robią teraz z kobietą i przez nią z rodziną. Popędy erotyczne społecznie otamować było jednem z pierwszych zadań cywilizacji. Zadaniem nowej cywilizacji ma być rozwiązanie tych popędów — rozwiązłość staje się zasadą nowego życia. Tu jest centralny moment w naturze ludzkiej, czekającej na sankcję społeczną: wszystko wolno. Pornografja jest elementarną szkołą rozkładu moralnego, społecznego i politycznego. Jest to metoda odszukiwania w człowieku kulturalnym zwierzęcia, aby porwał więzy społeczne, poczynając od rodziny. Sztuki „piękne", lektura, teatrzyki, sale zabaw, kina, mody kobiece, oddane prawie niepodzielnie w ręce wytrawnych cyników, zaprawionych zawodowo w handlu żywym towarem, ogarniają coraz szerzej i głębiej życie społeczeństw, niszcząc to wszystko w obyczajach, co pracowicie wiekami wyhodowały kościół i rodzina.

Zdawałoby się, że skoro idea tworzenia na terenie dawnych państw narodowych jednej rodziny europejskiej jest korzystna i realna w oczach kombinatorów, to niepotrzeba jej przeprowadzać tak wielkim kosztem, za cenę zdziczenia społeczeństw. Jednakże tak nie jest; wyrugowanie z duszy układu psychicznego narodowego da się według tych haseł dokonać tylko przy radykalnem zniszczeniu elementów, z których wyrosła dawna cywilizacja, a więc przez zlasowanie tego, co już było jak kryształ. Głównie atakowany jest zasadniczy punkt cywilizacji, ów moment przymusu, który ze zwierzęcia czyni stwór społeczny. Nauka, nam szczepiona przez Żydów, zaleca folgowanie sobie, uderza w najsłabszy punkt natury ludzkiej, rozgrzeszając użycie i rozwiązłość. Z zepsutego w ten sposób materjału samolubnego i zezwierzęconego nie można stworzyć narodu z ambicjami dziejowemi. Żydzi tym środkiem rozkładu operują swobodnie bez krzywdy już teraz dla siebie, im bowiem ten tryb duchowości nie szkodzi. Srogim nakazem rytualnym zabezpieczyli sobie trwałość plemiennych odrębności, rodziny i religji. Sami ani joty nie ustąpią ze swego nacjonalizmu i konserwatyzmu. Psychiki tej jednak nie starczy, jak się na ich dziejach pokazuje, na stworzenie i utrzymanie swojej własnej budowy państwowo-cywilizacyjnej. My Polacy mamy inne potrzeby i zadania. To, co Żydom służy, nas gubi—i to jest podstawą antagonizmu.

My nie możemy lekceważyć koło siebie objawów rozwiązłości, wyrażających się choćby w tak niewinnej napozór rzeczy, jak moda obnażania się kobiet. Nie możemy tolerować akcji planowej szerzenia pornografji w literaturze i teatrze, nie wolno nam spokojnie stwierdzać, że „dziś już niema rodziny" i t. d. Natura polska nie może w warunkach rozkładu być twórczą. Polski ustrój duchowy jest jednolity i integralny; działa wtedy dodatnio, kiedy działa całą duszą. Każdy wyłom grąży duszę na dno upadku, jak łódź dziurawą. Twórczą jest dusza polska wtedy, gdy jest czysta, gdy sobie nie folguje, gdy jest inspirowana z psychiki społecznej i mocna wobec siebie etycznie.

Rozkładowi, który nam grozi, przeciwstawić trzeba surowość obyczajów i dobry smak ludzi uszlachetnionych duchowo, których nie nęcą uciechy motłochu.

ZYGMUNT WASILEWSKI

SKRZYDŁA I PĘTA DUCHA POLSKIEGO

NARÓD UCZUCIOWY

MIELIŚMY przysłowie „piwo młode czop wysadza"; ale „piwo wnet się ostoi". Otóż w związku z tem przysłowiem królowa Bona, bystra znawczyni ludzi, w dosyć ciekawy sposób ujęła nasz charakter. Powiedziała, że Polacy są podobni do piwa, które sami wyrabiają i piją, t. j. że burzą się szybko, ale tak, jak i piwo, rychło się uspokajają i miękną. Książe Niwerneński, Francuz towarzyszący królowi Henrykowi, przypomina w r. 1574 ten pogląd Bony i przyznaje: Polacy „są gwałtowni i krnąbrni, ale gniew ich nie trwa długo, gdyż jeśli się stawi czoło wielkiej ich furji, ale w sposób łagodny, wówczas zaraz miękną, a w końcu tracą całą złość swoją i najczęściej dają się powodować... Królowa Bona, która dobrze ich znała, porównała Polaków z piwem, które świeżo zrobione rozsadza beczki, ale wkrótce, gdy się ostoi, traci siłę i ostrość" [1]).

W istocie, mimo całej burzliwości, pochopności do zaburzeń i rokoszów — to „piwo polskie", zrazu gwałtownie musujące, nie doprowadza do długich i krwawych wojen domowych — do rewolucji prawdziwej, ani do zamordowania monarchy. Słomiany ogień szybko gaśnie. Wiele hałasu, ale mało krwi i trupów. Zdaje się jakgdyby Polacy dawali się porywać łatwo afektom, uczuciom. — Nie wiele się namyślają nad ułożeniem programu, ale i dlatego też z lekkiem sercem go porzucają.

Polacy, dosyć spostrzegawczy, sami na siebie ukuli też znane przysłowie, jakby sami z siebie pokpiwając: „Mądry Polak po szkodzie". W tem przysłowiu Polacy po wiekowych doświadczeniach wylali swe żale na to, że zbyt lekkomyślnie porywali się do czynu i stąd ciężkie szkody ponosili. Zamało się namyślają!

„Choć wiem, że słowa te nie zadrżą długo
W sercu, gdzie nie trwa myśl ani godziny,
Mówię, bom smutny — i sam pełen winy."

Zamiast ułożyć sobie wprzód plan dokładny działania i obliczyć się z siłami — Polacy — jak kpił z nich Bismarck, mówią: „jakoś to będzie"... i są kontrastem Niemców, którzy długo filozofują, układają i wraz z Moltkem mówią: „*Erst wägen, dann wagen*". Szlachta dobrzyńska w „Panu Tadeuszu", która tylko krzyczy i bez namysłu pędzi na Soplicę, aby się zaraz rąbać — jest kontrastem Buchmana, który chce wprzód długo, flegmatycznie i systematycznie całą rzecz rozwiązać [2]). Polacy są lekkomyślni — oto bezustanna śpiewka cudzoziemców, podróżujących po Polsce [3]).

Ale nie zawsze ta nagła przewaga uczucia nad rozwagą źle się zapisała na kartach naszych dziejów. Afekt czasem w chwilach niebezpieczeństwa uzbrajał Polskę nagle w piorunowy szał poświęcenia i ofiarności. Nie namyślali się długo: Chrobry gdy wskakiwał do Bugu, a Czarniecki w nurt morza, Żółkiewski pod Kłuszynem, Pułaski na Savannah, legjony pod Samosierrą, powstańcy — w listopadzie czy w styczniu. Jak mówi nasze przysłowie „Polak nie liczy, lecz bije". Ileż to razy junackie porywy, hetmańskie ofiary, rycerskie ataki wystrzelały nagle, jak błyskawica, z tej naszej właściwości, że Polak się nie wiele namyśla, ale za pierwszym poczciwym odruchem rzuca się „na poganina". Co prawda zwykle te uniesienia są krótkotrwałe, bo uczuciowe, bo niezbyt przemyślane, młodzieńcze, uniesione dziecinną fantazją. Są krótkotrwałe i dlatego tyle razy nie wyzyskaliśmy naszych zwycięstw.

Ale Polak nie tylko zbyt szybko czyni, ale także i zbyt szybko mówi. — Mówi, zanim się namyśli, — czyli cechą jego jest — gadatliwość. „U Polaka co w sercu, to i na języku".

Pewien pisarz polski w r. 1606 przyznaje „Jednoć to Polacy tak radzą, że wszystek o tem świat wie, inszy naród żaden (tak nie radzi), jedno bardzo tajemno" [4]). W tymże samym niemal czasie arcyksiężna Marja ostrzegała austrjackich polityków przed gadatliwością Polaków: „*denn was ein Polak sollt wissen, so müsste jedermann wissen*" [5]). Na podstawie doświadczeń z insurekcji Kościuszkowskiej bohater z pod Racławic zawyrokował: „Najtrudniejsza rzecz u Polaków zachować sekret [6]).

I tu znowu przeciwieństwo między „niemymi" Niemcami a Polakami. Co więcej, nieraz chełpimy się nawet tem, czego na serjo nie myślimy wykonać, grozimy innym, choć czujemy, że groźby nasze nie dadzą się urzeczywistnić. I Kościuszko mawiał: „Nasi tak są próżni, że gotowi z próżności co najgorszego na siebie samych wygadać [7]). Stąd niepotrzebnie ściągamy gromy zemsty na nasz naród. Wszak Bismarck w swym pamiętniku zeznaje, że pierwszy raz zawrzał gniewem na Polaków, gdy w r. 1831 pewien emigrant — Polak zapowiedział mu, że Polacy miejscowościom na wschód Łaby przywrócą niedługo pierwotne brzmienie słowiańskie. Po co było przedwcześnie czerwoną chustą rozdrażniać „junkra pomorskiego"?

Toż i w czasie powstania styczniowego niepotrzebnie chełpiliśmy się tem, że zdobędziemy Kijów i Smoleńsk (gdy nawet samej Warszawy nie zdołaliśmy zdobyć).

„Otwarty, czysty charakter ma Polak. łatwiej ty go oszukasz, niźli on ciebie... Przejednać go nie trudno... przykładami łatwo umysł Polaka wzruszyć" (Kromer, *Polonia* 1575).

Polacy raczej idą za impulsem uczucia, niż rozumu. Tak sobie to tłumaczył w tych samych latach (1573) bystry obserwator ksiądz Solikowski, który pisał: „Do tak szlachetnych ludzi i natur polskich to jest rzecz bardzo nie dobra, że się afektami sprawują, a nigdy albo bardzo mało racjami" [8]). Może dlatego niektórzy pisarze do dziś zwą nas narodem „kobiecym". I tu może nie od rzeczy zdać sobie sprawę, że u nas w istocie kobiety odgrywają rolę wybitniejszą, niż się nam zdaje. Nie tylko w dziejach porozbiorowych, gdzie udział ich w ruchach powstańczych był niepomierny, ale i w dawnych czasach. Wszak niezbyt odskakuje od typu Amazonki, czy legendarnej Wandy siostra Bolesława Chrobrego Biała Kniegini, co jeździła konno, zaglądała do kielicha i raz

---

[1]) „Bibl. Warszaw.", 1887 IV, 182.

[2]) Konrad Górski „Gazeta administr. i policji" 17.XI. 1923. „Z rozważań nad syntezą duszy ludzkiej".

[3]) Liske „Cudzoziemcy" 293, „*Voyage* 1793 *par un Livonien tradnit de l'allemand* 1807, I, 277.

[4]) Czubek „Pisma rokoszan" 1918 II, 460 por. Bibl. Warszaw. 1887, 176-7, 181.

[5]) Aug. Sokołowski. „Przed rokoszem", Bismarck w mowie 23/IX, 1894. *(Können aber nicht dicht halten)*.

[6]) „Czy Polacy mogą się wybić na niepodległość 1800, 48 Podobnie Łukasiński (Askenazy I, 197).

[7]) Paszkowski „Dzieje Tad. Kościuszki" 201. Wisłocki, „*Incunabula*" 1900, 443.

[8]) Czubek, „Pisma polityczne" 477, Norwid (Przesmycki I, 966)

w gniewie zabiła człowieka. „Wiadomo — mówi cudzoziemiec w r. 1791—że panie w Polsce wywierają ważniejszy wpływ niż gdzieindziej“ [9]). O nadmiernym ich wpływie na sejm czteroletni notuje drugi podróżnik [10]):

„Jedziesz do kraju, gdzie kobiety są wszystkiem“ — powiedział Napoleon o Polsce [11]).

[9]) Liske „Cudzoziemcy“, 282—3.
[10]) *Voyage en Pologne* 1793, lc. 277.
[11]) Kalinka „Sejm 4-letni“ I 282.

Bismarck w mowie swej (29.I.1886) przestrzegał Niemców przed politycznym wpływem i niebezpiecznem działaniem uroku pań polskich. „Ten podziw dla polskich dam podzielam w zupełności i dlatego chciałbym dopuścić im o ile możności jak najmniej wpływu na rząd w państwie pruskiem“.

Jak wiadomo Nietsche podzielił narody na czynne i bierne, a to wedle tego, czy w nich główną rolę odgrywają mężczyźni, czy kobiety. W takim razie naród polski należałoby zaliczyć — do biernych?

WACŁAW SOBIESKI

U ŹRÓDEŁ NACJONALIZMU WŁOSKIEGO

TRZYDZIEŚCI lat mija właśnie od pamiętnego pierwszego marca 1896 roku, kiedy rząd włoski otrzymał wiadomość o klęsce armji włoskiej w wojnie abisyńskiej, w nieszczęśliwej bitwie pod Aduą. Nazajutrz tłum wywrotowców, socjalistów i liberalnych pacyfistów manifestował po ulicach i placach przeciw rządowi i wojnie. Zwycięstwo wojsk Menelika nad armją włoską wywołało na ulicach Rzymu demonstracje pacyfistyczne z okrzykami: „Precz z Afryki! Precz z Crispim! Niech żyje Menelik!“ Aberracja polityczna przeszła wszelkie granice. Propaganda materjalistyczna socjalizmu, przy poparciu i zachęcie ze strony lewicowej demokracji, zabiła w przedstawicielstwie parlamentarnem i w znacznej części narodu wrażliwość na honor narodowy...

Bitwa pod Aduą przegrana została z powodu nierówności sił: przeciwko 88,600 uzbrojonych tuziemców stanęło 14,500 Włochów. Wojska Menelika straciły 17,000 ludzi, ze strony włoskiej padło dwóch generałów (Arimondi i De Bormida) oraz 5,500 żołnierzy, wśród nich 254 oficerów; 2300 dostało się do niewoli. Inicjator wyprawy afrykańskiej, premjer Francesco Crispi, za to, że po raz pierwszy ukazał Włochom szerokie horyzonty ekspansji kolonjalnej, został obalony nietylko przez wrogów z lewicy socjalistycznej, lecz także skoalizowanych z nią przedstawicieli centrum i liberalnej prawicy. Aż stu senatorów pośpieszyło do Rzymu, by żądać nowego gabinetu. Wtedy to: „Italję pokonali Włosi“ [1]).

W cztery dni po bitwie, 5 marca, Crispi oświadczył na posiedzeniu parlamentu [2]): „Mam zaszczyt podać do wiadomości Izby, iż gabinet złożył dymisję na ręce Jego Królewskiej Mości“. Przerwał i po chwili dodał głosem bardziej podniesionym: „Jego Królewska Mość dymisję przyjął“. Rozległy się okrzyki: „*Viva il Re!*“, a gdy Crispi dodał, iż rząd pozostaje przy władzy aż do chwili zamianowania nowego gabinetu, posypały się pod jego adresem zniewagi i obelgi. Wkrótce wytoczono przeciw Crispiemu t. zw. „kwestję moralną“. Demagogja socjalistyczno-pacyfistyczna stanęła w roli oskarżyciela wobec męża stanu, który pragnął „Italji wielkiej, wzbudzającej podziw i szacunek“.

Taki był duch, który panował w ówczesnych Włoszech.

*
* *

Gdy na widowni politycznej rozgrywały się powyższe wypadki, w dzienniku florenckim „*Marzocco*“ ukazał się (8 marca 1896 r.) artykuł, który był śmiałem wyzwaniem triumfującej podówczas polityki. Autor, Enrico Corradini, pisał:

„W czasie, gdy duch nasz jakgdyby zwarł się w sobie, my, młodzi, którym zdawało się, żeśmy tak wielu rzeczy zapomnieli, my, których rozpalał taki żar i zapał indywidualnych pragnień i dążeń, poczuliśmy wewnętrzną łączność z duchem naszej ojczyzny... nagle i gwałtownie“!

To klęska pod Aduą, obalenie Crispiego i demagogja, która ruszyła na ulice manifestować przeciw honorowi i ojczyźnie, wywołały uzdrawiający kryzys wśród młodych literatów, zgrupowanych dokoła „*Marzocco*“. Enrico Corradini wybornie odmalował później ten moment psychologiczny w życiu Włoch, w swej pięknej, pełnej uczucia i głębi powieści „*La guerra lontana*“.

W tragedji Crispiego, grupka inteligentów z Corradinim na czele, odczuła tragedję poniżonego narodu, i poczęła z całem oddaniem bronić człowieka, co sam jeden, opuszczony przez wszystkich i wbrew wszystkim, niezłomnie głosił swą wiarę w przyszłą potęgę Ojczyzny. Jeszcze przed zgłoszeniem prośby o dymisję pisał Crispi: „Trybunę narodową zamieniono na trybunę oszczerstw; nietykalność poselska przerodziła się w bezkarność obrażania, a walka osób, a raczej przeciwko osobie, zastąpiła szermierkę o zasady. Oszczerstwo nie jest w polityce bronią nową, w krajach demokratycznych zajęło miejsce średniowiecznego sztyletu i trucizny, a uciekają się do tej broni tem chętniej, gdy chybi kamyk, rzucony z procy nowoczesnego Dawida, lub zbłądzi kula fanatycznego mordercy“.

Adua wywołała ferment, a raczej odruch i reakcję rodzącego się nacjonalizmu. Zaczęło się od artykułu Corradiniego w „*Marzocco*“, od mężnego aktu wyznania wiary ludzi, co podejmowali trudną i ciężką walkę polityczną, lecz w walce tej nie szukali osobistej karjery. W roku 1903 powstaje pod kierunkiem Corradiniego „*Il Regno*“ i rozpoczyna się w piśmie tem kampanja przeciw socjalistom, demokratom i przeciw liberalnej burżuazji, co w walce parlamentarnej cofała się krok za krokiem, czyniąc ustępstwa na rzecz socjalizmu, oddając mu w ręce władzę, rezygnując ze wszystkich najświętszych wartości narodowych, które padały ofiarą parlamentarnego kompromisu.

Ponieważ klęskę pod Aduą wyzyskano dla osłabienia poczucia honoru narodowego w masach, czyniąc z Włoch państwo słabe w rękach ludzi słabych, nacjonaliści zrozumieli, iż trzeba doprowadzić Włochy do wojny, do wojny zwycięskiej. Trudne to było zadanie, lecz nacjonaliści zdawali sobie sprawę z tego, że „bez wojny własnej Włochy nie staną się nigdy narodem“. A było to w czasie, gdy powszechnie sądzono, że wydatki na wojsko są „wydatkami nieprodukcyjnemi“. Odważne wystą-

[1]) Enrico Corradini: Mowy polityczne. Wspomnienie bitwy pod Aduą.
[2]) Saverio Cilibrizzi: *Storia parlamentare politica e diplomatica d'Italia.*

pienie garstki nacjonalistów zyskało im opinję „manjaków wojny", ludzi zacofanych, szaleńców. Starano się na wszelkie sposoby obudzić wśród ogółu pogardę dla nienawistnego nowego ruchu.

W dniu 3 grudnia 1910 roku, w sali *Dugento* w *Palazzo Vecchio* we Florencji zebrał się pierwszy kongres nacjonalistyczny. Enrico Corradini, Luigi Federzoni, (obecny minister spraw wewnętrznych), Gualtiero Castellini, Scipio Sighele, Arturo Colautti, Pier Ludovico Occhini, Maurizio Maraviglia etc. stanowili pierwszy sztab kierowniczy obozu. Giovani Pascoli, znakomity poeta, temi słowy wzywał zebranych w przesłanym do prezydjum zjazdu telegramie: „Czas już wznowić bohaterskie dzieło, czas już zdobyć na nowo Włochy dla Włochów".

W roku 1911 w marcu, w rocznicę bitwy pod Aduą, główny sztab obozu nacjonalistycznego przenosi się z Florencji do Rzymu i tutaj E. Corradini, L. Federzoni, R. Forges Davanzati, M. Maraviglia i Francesco Coppola rozpoczynają wydawanie własnego pisma *„Idea Nazionale"*. Nieliczni i zawsze jeszcze wyśmiewani przez inne stronnictwa nacjonaliści, przez nacisk na opinję publiczną zmuszają rząd Giolittiego do ogłoszenia aneksji Trypolisu. Po piętnastu latach od klęski pod Aduą, Włochy podnoszą na nowo kwestję kolonjalną, zwycięsko zajmując Libję. Demokracja Giolittiego i wszechwładni podówczas socjaliści musieli poddać się temu, co narzuciła wola małej grupy „szaleńców". Zbudził się potężny prąd patrjotyczny w ludzie, prąd, który doprowadził z czasem do udziału Włoch w wojnie światowej.

* * *

„Za lat dwadzieścia, jeśli nie wcześniej, cała Italja będzie imperjalistyczną", zapowiedział proroczo Corradini.

Z końcem roku 1914 organ nacjonalistów, *„Idea Nazionale"*, z tygodnika staje się pismem codziennem. Wybuchnęła wojna europejska i Włochy musiały rozstrzygnąć, jakie wobec niej wypada im zająć stanowisko.

Gabrjel D'Annunzio, Enrico Corradini i Benito Mussolini znaleźli się razem i zrozumieli nawzajem. Uznali potrzebę wojny nietylko dla przeprowadzenia do końca zjednoczenia Włoch, lecz dla otworzenia im drogi do potęgi i wpływu wszechświatowego. Oni to mowami, pełnemi patrjotyzmu i zapału, porwali tłumy, wbrew woli tych, co chcieli walczyć u boku Niemiec, co z Giolittim na czele, poza plecami szefa rządu Salandry, porozumiewali się z ambasadorem niemieckim Bülowem. I król wojnę wypowiedział. Rząd liberała Salandry został utrzymany, a socjaliści i germanofile pokonani i zmuszeni do milczenia. Lecz Mussolini i D'Annunzio popełnili wówczas błąd, nie ujmując odrazu w ręce rządów państwem. Wszystkie przejścia, zawody i klęski wojenne i powojenne były skutkiem tego błędu. Ale nacjonalizm poniósł wówczas na front cały swoj zapał; przyszli kierownicy Włoch byli wtedy żołnierzami.

Wojna zakończyła się zwycięstwem, lecz rezultaty zwycięstwa odczuły Włochy dopiero 28 października 1922 roku, po marszu „czarnych koszul" na Rzym. Zwycięstwo faszyzmu pomściło ostatecznie tragedję Crispiego, którego przed laty obaliła koalicja tych samych grup parlamentarnych, które obecnie rewolucja faszystowska odsunęła od władzy i wpływu. Mussolini skierował życie Włoch na drogę rozwoju i potęgi, na którą chciał je wprowadzić Crispi.

W dziejowym łańcuchu wypadków przegrana pod Aduą wywołała reakcję patrjotyczną grupy Corradiniego, ta zaś rozbudziła nacjonalizm włoski, którego pierwszem zwycięstwem była wojna libijska, a następnie udział Włoch w wojnie światowej przeciw odwiecznemu wrogowi Austrji. Z ducha tej wojny i ludzi, co w niej uczestniczyli, wyrósł faszyzm. Niemal trzydziestu lat pracy trzeba było, by myśl narodowa włoska przyoblekła się w kształt widomy ustroju faszystowskiego. W ustroju tym, wspólną ideą wielkości ojczyzny złączeni, znaleźli się obok siebie: największy teoretyk nacjonalizmu włoskiego Enrico Corradini i genjalny organizator Włoch faszystowskich, Benito Mussolini.

Rzym — EGISTO DE ANDREIS

MICKIEWICZ WOBEC SPISKÓW GALICYJSKICH W R. 1833

PISMO „Do przyjaciół galicyjskich" należy w naszej wiedzy o Mickiewiczu do pozycyj mniej jasnych; nie daje się jakoby włączyć konsekwentnie w ciąg myśli poety, jest jakby wyskokiem trzeźwości i konserwatyzmu wśrod wrącej fali entuzjazmów i zapędów rewolucyjnych, charakteryzujących naówczas społeczno-polityczne pojęcia Mickiewicza. Stąd też nie mało kłopotu sprawiło ono jego monografistom. Żeby nie sięgać zbyt daleko, spytajmy o zdanie dwóch ostatnich. Oto co nam odpowiedzą: Artykuł ten—pisze jeden z nich właśnie o piśmie wymienionem—„stanowi poniekąd zagadkę; jakim sposobem r ó w n o c z e ś n i e drukował Mickiewicz tak namiętnie artykuły rewolucyjne w „Pielgrzymie", a obok nich pisał dla szczupłej garstki przyjaciół i chował przed ogółem myśli rozważne, rozumne, wyborne i dla emigracji i dla Polski wogóle?" (J. Kallenbach. „A Mickiewicz" II, 139). Z tą samą trudnością niekonsekwencji zmaga się i drugi także monografista. Podawszy wytyczne wspomnianego pisma Mickiewicza, orzeka: „Widzimy przeto, że chociaż był zwolennikiem polityki czynu, z czynem rewolucyjnem chciał się Mickiewicz wstrzymać,... a narazie potępiał, jako nie prowadzące do celu, zbrojne zamieszania powstańcze, jak np. wyprawę Zaliwskiego... To odkładanie walki i potępianie wychodzących z emigracji wypraw stoi w widocznej sprzeczności z ideą walki bezwzględnej, nie liczącej się z klęską, co Mickiewicz właśnie rozwijał w „Pielgrzymie"... Czemu przypisać ową sprzeczność między stanowiskiem ideowem a praktycznem?" (St. Szpotański „A. Mickiewicz i jego epoka", II, 44 n.).

Jak widzimy, kłopotu narobiło przedewszystkiem przeświadczenie, że pismo „Do przyjaciół" jest równoczesne z artykułami „Pielgrzyma"; zaostrza to oczywiście zarzut niekonsekwencji: Co innego mówił Mickiewicz emigracji a co innego krajowi? Co innego w druku a co innego poufnie? Te same fakty (np. wyprawę Zaliwskiego) r ó w n o c z e ś n i e to czernił to wybielał zależnie od audytorjum? Jest to rzeczywiście „zagadka", i to niebylejaka; od jej rozwiązania zależy dużo, bo pogląd nie tylko na logikę i wytrawność polityczną poety, ale poprostu na jego uczciwość myślenia i postępowania.

Poza chronologją wiążą się z tem pismem kłopoty innego jeszcze rodzaju, równie zagadkowe. Przedewszystkiem dla kogo pisano te uwagi i wskazówki? Cóż to za jedni ci „przyjaciele galicyjscy"? W jakim konkretnie celu, z jakiej potrzeby wyrosło pismo? Oprócz tych za-

gadnień, leżących w samej istocie rzeczy, nasuwa się jeszcze jedno, przypadkowe: Jak wyglądały rady Mickiewicza naprawdę, w brzmieniu autentycznem, ostatecznem? Okaże się bowiem, że myśl jego dostała się do wiadomości publicznej w tekście niepełnym i niewłaściwym. Jak widać, powodów dość, by się zatrzymać chwilę przy wysuniętem zagadnieniu; zaciekawia nas ono i intryguje. Tem więcej, że przy sposobności odsłonić się może nieco w działalności Mickiewicza jedna kartka, niezupełnie podobnoś dotąd odczytana.

W pierwszym rzędzie obchodzi nas więc kwestja, kiedy powstało pismo „Do przyjaciół galicyjskich“? Nie jest to błaha ciekawostka filologiczna, wiele od tego zależy. Może owe niepokojące „sprzeczności“ nie są w rzeczywistości sprzecznościami, ale wyrazem ewolucji pojęć, może świadczą nie o zawikłaniu, ale o rozwoju myśli politycznej Mickiewicza? Stara ale dobra jest rada: *distingue tempora et concordabit scriptura*. Czy da się tu atoli zastosować?

Na czemżeż opiera się dotychczasowe umieszczenie pisma w czasie? Jest ono w autografie nie datowane; nie ma o niem wzmianki ani w korespondencji poety, ani w innem znanem źródle współczesnem, skądby można ustalić datę jego bezpośrednio i autentycznie. Jedyne słowo w tej sprawie powiedział pierwszy wydawca pisma w r. 1866, Wł. Mickiewicz i zaopatrzył on je w przypisek: „Ten artykuł pisany był jednocześnie z artykułami „Pielgrzyma“, przed samą wyprawą Zaliwskiego, a czytany w kółku przyjacielskiem, składającem się z Józefa i Bohdana Zaleskich, z Karola Różyckiego i Ign. Domejki“.

Informacja ta ma za sobą autorytet tradycji; niewątpliwie zasięgnięto jej u samego B. Zaleskiego. Nie dziwi więc, że utrzymała się w mocy do dzisiaj, że ją przyjęli wszyscy piszący w tej sprawie. Mimo to nie można zamknąć oczu na kryjącą się tam pewną nieścisłość, wprost sprzeczność szczegółów. Wśród obecnych przy czytaniu pisma wymieniono tam m. i. Józefa Zaleskiego. Wierzymy temu chętnie. Zaleski J. był, jak wiadomo, bezpośrednim sprawcą pisma, które jest przecie odpowiedzią na postawione przezeń zapytania. Postawić zaś musiał je osobiście. Nie należy przypuszczać, żeby Zaleski zwracał się z niemi listownie, drogą korespondencji z Galicji. Nie znajdujemy śladu podobnego listu. A już wprost nie do pomyślenia jest, żeby Mickiewicz w piśmie, zwroconem do działaczy konspiracyjnych galicyjskich, narażonem więc na przychwycenie przez policję austrjacką, żeby mógł wymieniać, jak wymienił, po nazwisku emigranta konspirującego, znoszącego się tajnie z zagranicą, — gdyby ten mieszkał jeszcze w Galicji. Sprawa jest jasna: kiedy powstawało pismo Mickiewicza, Zaleskiego w Galicji już nie było, bawił już w Paryżu.

W takim jednak razie nie mogło to być „przed samą wyprawą Zaliwskiego“, czyli z początkiem roku 1833; Zaliwski wyruszył z Francji w pierwszych tygodniach tego roku, a 19 marca oddziałki jego wkraczały już z Galicji do Królestwa. Józef Zaleski zaś rzucił Galicję i przyjechał na stałe do Francji dopiero w listopadzie 1833 r. To nam zarazem ustala datę pisma Mickiewicza. Że powstało ono rychło potem, tego samego może nawet miesiąca, za tem mówi wzgląd jeszcze inny. Wymienione powyżej grono przyjaciół paryskich zwróciło się do „przyjaciół galicyjskich“ z innem jeszcze pismem, z odezwą dn. 29 listopada 1833 r. (tekst jej u Wł. Mickiewicza: „Żywot“ 255 n.). Wskazany tam program działania dla Galicjan równoległy jest zupełnie z ustalonym przez Mickiewicza. Można przyjąć, że i okres czasu wcale nieduży rozdziela dwa te pisma, treściowo tak spokrewnione.

Wynika stąd, że pisał Mickiewicz uwagi swe „Do przyjaciół galicyjskich“ pod sam koniec r. 1833. Odszedł on był już wtenczas od „Pielgrzyma“ wcale daleko. Poza sobą miał okres gorączkowej działalności publicystycznej; wycofawszy się z wiru, okiem krytycznem ogarniał całą walkę programów, skorzystał z doświadczeń zdobytych i posunął się naprzód w rozwoju swych poglądów politycznych. Już był naówczas zamknął drzwi od hałasów Europy i w szybkiem tempie doprowadzał do końca swego „Pana Tadeusza“, oddany mu, przejęty nim niemal wyłącznie. Nielada musiała to być potrzeba, co go wyrwała z toku tworzenia poetyckiego i przyniewoliła do pracy, duszę jego z rajskiej dziedziny władzy, ze sfer wyobraźni, ściągnęła na realny grunt praktycznej działalności politycznej.

Skądżeż tedy przychodziła i co zacz była ta potrzeba? Wiąże się zaś z tem pytanie inne: do kogóż to zwracał się Mickiewicz? Jakich to „przyjaciół galicyjskich“ miał na uwadze, pisząc swe rady i wskazówki? Sam przecież w Galicji nie był i bezpośrednich przyjaciół ani osobistych ani politycznych tam nie miał. Z treści pisma wiemy, że pośrednikiem był tu Józef Zaleski, w kołach zatem jego znajomych szukać nam należy adresatów omawianego pisma.

Józef Zaleski, daleki krewny Bohdana, później najserdeczniejszy, dozgonny jego przyjaciel, dostał się po upadku powstania listopadowego do Galicji i tu na czas dłuższy wciągnął się w tajną pracę patrjotyczną. Nazwisko jego spotykamy już w 1832 r. wśród członków związku utworzonego świeżo przez S. Goszczyńskiego pod nazwą D w u d z i e s t u j e d e n. To nam odrazu pozwoli zorjentować się w kierunku tej działalności Zaleskiego. W owoczesnych poczynaniach konspiracyjnych galicyjskich, jak je znamy dzisiaj z pamiętników i z aktów sądowych, rywalizowały z sobą dwa sprzeczne prądy. Jeden dążył do utworzenia wśród obywatelstwa galicyjskiego tajnej organizacji politycznej autonomicznej, nie zależnej wyraźnie od żadnego kierownictwa z zewnątrz, w szczególności nie ulegającej bezpośrednio zwierzchnictwu któregoś z ugrupowań ideowych emigracji. Prąd zaś drugi był właśnie odgałęzieniem konspiracji emigracyjnej, kierowany był z zewnątrz, mianowicie przez tajną międzynarodową organizację rewolucyjną karbonarjuszów. Z ramienia i przy pomocy tego to związku podejmował wyprawę swą właśnie J. Zaliwski. Krótko przedtem, przy wzmożonej działalności konspiracyjnej, udało się węglarzom galicyjskim rozbić niechętne im związki „niezależnych“ i przeciągnąć na swą stronę większość spiskowców.

Józef Zaleski szedł z prądem pierwszym. Związek D w u d z i e s t u j e d e n opierał się uzależnieniu pracy patrjotycznej w Galicji od zagranicy, usiłował się przeciwstawić zabiegom węglarzy. Należeli doń poza Goszczyńskim i Zaleskim: A. Bielawski, Pol W., Jabłonowski L., Tetmajer J., Janko H., Darowski W. i in. Nie parli oni, jak węglarze, do natychmiastowego wybuchu powstania, chcieli je przygotować dokładnie i rozważnie, stąd niechętni byli robocie Zaliwskiego. „Moje przeczucie — pisze o tem Goszczyński — potępiło odrazu tę robotę“. Nie hołdowali też poglądom społecznym zbyt jaskrawo radykalnym. Po rozbiciu organizacji D w u d z i e s t u j e d e n przez węglarzy, zwłaszcza zaś po tragicznym końcu wyprawy Zaliwskiego, wstąpili przecież do związków węglarskich, z wyraźnym jednak zamiarem, by je zreformować i uniezależnić.

Węglarstwo owoczesne w Galicji tworzyło pod zwierzchnictwem loży lwowskiej szereg kół prowincjonalnych, pod nazwą P r z y j a c i ó ł l u d u. Po klęsce Za-

liwskiego i wśród wywołanych nią represyj rządu austrjackiego loża naczelna upadła, i za przyczynieniem się szeregu wybitnych spiskowców pomyślano o reformie Przyjaciół. Jeden z wtajemniczonych, L. Jabłonowski tak o tem mówi w pamiętniku: „Po pierwszej trwodze nastąpiła chwila spokoju... Była nawet nadzieja lepszego pożycia z węglarzami, gdy kilku z naszego dawnego związku, rozbitego partyzantką, a teraz już węglarzy, jak S. Goszczyński, W. Pol, Janko, Podolecki, Kulczyński, Józef Zaleski, widząc niefortunne położenie węglarstwa u nas pa zamknięciu naczelników, schodziło się u mnie, by radzić nad sposobem ujęcia tego złowrogiego żywiołu w karby" („*Złote czasy i wywczasy*", 1920, str. 154).

Z takiem to gronem i w takiem dziele współpracował J. Zaleski jesienią 1833 r., bezpośrednio przed wyjazdem do Paryża; ta sprawa oczywiście leżała mu szczególniej na sercu i po przybyciu, po wejściu w koło blizkie Mickiewiczowi. W jej imieniu zwrócił się też doń po rady. Wydaje się zatem pewne, że w związku z tą całą sprawą stoi pismo Mickiewicza, że do tych to „przyjaciół" było skierowane. Zaleski wtajemniczył krótko przyjaciół paryskich w ową pracę tajną, w jej trudności i zamierzenia, podniósł potrzebę podania tamtemu gronu wskazań wytycznych, utworzenia dla niego wśród wybitnych, a stojących ponad partjami jednostek emigracji jakby koła opiekuńczego. Poinformował też zapewne Mickiewicza, że imię jego w sferach konspiratorów lwowskich, młodych przeważnie literatów, ma wielki autorytet; w ich imieniu i z ich zapewne polecenia prosił go o radę w paru sprawach zasadniczych, tyczących kierunku pracy. Jak wiemy, prosił nie napróżno.

Mickiewicz rozumiał wagę sprawy i przejął się nią. Odpowiedź na pytanie J. Zaleskiego opracował dwukrotnie: pierwszy bruljon przepisał i znacznie rozszerzył. Znamy dotąd tylko ów bruljon, ogłoszony drukiem w r. 1866; redakcja druga, pełniejsza pisma, dotąd nie drukowana, istnieje w autografie wśród puścizny rękopiśmiennej po B. Zaleskim. Ale i ona nie była widać jeszcze ostateczną. Mickiewicz widocznie przeczytał tekst opracowany w gronie przyjaciół i uwagi ich pilnie uwzględniał, ustępy pewne przekreślał, inne zakreślał dla dalszego jeszcze opracowania. Najwyraźniej nie chciał, by wskazówki jego i uwagi nosiły charakter jednostkowy; usiłował je zgodzić ze zdaniem całego grona.

W ten sposób charakter i przeznaczenie pisma są nam już jasne. Jest ono dziełem z końca r. 1833, zatem jedną z ostatnich wypowiedzi politycznych poety w pierwszym okresie emigracyjnym. Co za tem idzie, widzieć w niem możemy ostatni, najbardziej dojrzały wyraz poglądu jego na sprawy narodowe w kraju zarówno jak i w emigracji, rezultat całorocznych żarliwych wyczuwań i dociekań aktualnej doli narodu. Jeżeli zatem istnieją różnice między poglądami wyrażonemi w tem piśmie, a stanowiskiem bronionem na łamach „Pielgrzyma", to uznać je wypadnie za wyraz nie sprzeczności, czy nieszczerości, czy wreszcie niedojrzałości politycznej autora, ale za dowód zmiany, czy raczej ewolucji pojęć i sądów, tak naturalnej w czasach gorączkowych przeżyć i natężonej troski narodowej.

Nie należy jednak przesadzać. W gruncie rzeczy różnic między stanowiskiem „Pielgrzyma" a omawianem pismem jest mniej, niż się zwykło sądzić, zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę jego redakcję pełniejszą, lepiej oddającą myśl autora. W każdym zaś razie dotyczą one raczej szczegółów, niż istoty stanowiska, która jest tu i tam jednorodna. Jedno jest pewne: Mickiewicz zmienił pogląd na wyprawę Zaliwskiego. W „Pielgrzymie" bronił jej przed atakami arystokratów i demokratów; teraz nazywa ją wyraźnie „nieopatrzną" i przestrzega przed powtarzaniem takiej próby. Żałosny koniec partyzantki wykazał mu widać, że porządek europejski nie dojrzał jeszcze tak zupełnie, jak mu się to zdawało dawniej, do przewrotu, że prochów nie zapali lada iskra, że trzeba przygotowywać zarzewie długo, pilnie i roztropnie.

Drugim owocem doświadczenia jest trzeźwa niewiara w pomoc obcą, w szczególności zaś w pomoc związków tajnych, zwłaszcza węglarzy; nie są oni bynajmniej tak silni, za jakich się podawali. „Jaką mają potęgę wojenną,— ironizuje Mickiewicz, — nie wiem, wątpię jednak, aby do Polski mogli przesłać inne posiłki oprócz nauk i maksym, tudzież rozmaitych form i rytuałów." W poglądzie na moment wznowienia polskiej walki o niepodległość zbliża się teraz Mickiewicz raczej do zwalczanego ongiś stanowiska Mochnackiego: Powstanie polskie ma być zjawiskiem wtórnem, wystąpi dopiero po wybuchu rewolucji w innem jakiemś ognisku jak odzew po haśle. Hasło wszelako przyjść musi skądinąd: z Francji najpewniej, może z Niemiec, może z Włoch; tam musi rewolucja wpierw wybuchnąć i — zwyciężyć, utworzyć zaczyn nieuniknionej rewolucji ogólno-europejskiej. Wtenczas dopiero wybije godzina i dla Polski.

Myliłby się wszelako, ktoby to powściągliwe tutaj stanowisko Mickiewicza wobec spodziewanej rewolucji uważał za niekonsekwencję czy rezygnację z tak ostro postawionego w „Księgach" i w „Pielgrzymie" wezwania do zawsze gotowej ofensywy przeciw złu, przeciw despotyzmowi—szatanowi dziejowemu. Rozróżnić tu bowiem należy zakresy.

Tamto wezwanie skierowane było do emigracji, więc do zespołu ludzi, którzy się na to poświęcili, na to wyszli z Ojczyzny, by być zaczynem nowej epoki, krzyżowcami wolności; ich zadaniem było wyjść przeciw złu, dostać je i ruszyć w ostępie jego, z jakiejkolwiek zaczynając strony i w każdej sposobnej chwili. Tutaj zaś mowa o narodzie, o całym masywie jego istności. Jego sił nie można uszczuplać w lada zamieszkach.

Jednakowoż to oczywiste powściąganie egzaltacji powstańczej wewnątrz narodu nie jest równoznaczne z porzuceniem zasadniczej pozycji. Poinformowany przez J. Zaleskiego o trudnem położeniu sprawy narodowej w kraju, Mickiewicz oblicza zamiary zarówno jak i siły, siły te chce przysposabiać, wzmagać, słowem przygotować je do przyszłej, może przecież rychłej walki. Przygotować trzeba się jednak trzeźwo, poważnie, wytrwale, przez budzenie ducha narodowego w masach i przez mądrą, przebiegłą zmowę polityczną. Nie zarzuca bowiem Mickiewicz również myśli o spisku, o pracy tajnej. Owszem chce ją rozgałęzić, zdobyć dla niej nawet nowe tereny: sieci jej zarzucić na szeregi wojskowe w pułkach autrjackich, narodowościowo nie niemieckich, a nawet nie wyłącza związków, porozumienia z podziemnym ruchem zagranicą, w krajach ościennych. Więc konspiracja tem straszniejsza, że przezorna, skryta, zaciekła, wolna od niedojrzałej fanfaronady, wbita w żelazne okucie woli jak nabój w burzące dzieło. Nawet porozumienia się pewnego z emigracją nie zagradza Mickiewicz „przyjaciołom galicyjskim", choć o samej emigracji jak i o działalności związków tajnych międzynarodowych, karbonarów w szczególności, ma sąd tak cierpki. Inaczej zresztą być nie mogło: burza idzie, znać ją „z fizjonomji niebios, z jakiejś okolnej duszności, z jakiegoś podziemnego łoskotu". Potrzebne są więc o niej zapowiedzi, „postrzeżenia meteorologiczne", a te możliwe tylko z emigracyjnego obserwatorjum. Tylko że łączność ta nie powinna się wyrodzić w stosunek zależności, a podtrzymywać ją trzeba przez emisarjuszy niezawodnych w zaufaniu.

Równolegle z pracą spiskową iść winna w Galicji praca nad uświadomieniem narodowem szerokich mas.

Niektóre jej środki i sposoby szkicuje Mickiewicz z przedziwnie głęboką mądrością. Zwłaszcza podawane przezeń wskazówki tyczące rozwiązania kwestji włościańskiej i ruskiej w Galicji zdumiewają trafnością i jakiemś prawie jasnowidzeniem dróg i niebezpieczeństw. Warto podkreślić, że i tu także opowiada się on ostro przeciw niezgodzie klasowej, uważając ją za szkodliwą dla sprawy narodowej a idącą na rękę rządom zaborczym.

Jaki był rezultat nawiązanych w ten sposób stosunków między Paryżem a Lwowem, czy pismo Mickiewicza doszło do rąk przeznaczonych, w jakiej ostatecznej redakcji, jaką drogą, a wreszcie doszedłszy, jakie miało znaczenie, — na pytania te z braku danych odpowiedzieć nie można. Akta galicyjskich procesów politycznych tego czasu może jeszcze gdzie kryją dowód pożądany. Dotąd go jednak nie mamy. Jedno przecież wiemy napewno: Oto że ideologja Mickiewicza znajdowała żywy oddźwięk w kołach działaczy patrjotycznych Galicji, że np. „Księgi pielgrzymstwa" przedrukowywali oni kilkakrotnie we Lwowie sposobem nielegalnym i rozszerzali wśród społeczeństwa.

Faktem jest również, że reorganizacja Przyjaciół ludu poszła w dużym stopniu w kierunku równoległym do wytyczonego przez Mickiewicza. Przekształcono przedewszystkiem organizację na autonomiczną, obywatelską, rozluźniono stosunki z karbonarjuszami. Odsunięto w przyszłość myśl o wywołaniu zbrojnego ruchu. „W postępowaniu politycznem postawiono jako główne zadanie: budzić uczucie narodowe, rozszerzać oświatę, kształcić się wzajemnie w kierunku ducha patrjotycznego, przygotować szlachtę do usamowolnienia i uwłaszczenia włościan, aby ich w tem rząd z wielką szkodą dla sprawy narodowej nie uprzedził". Wiemy też, że wciągano w zmowę alumnów seminarjum grecko-katolickiego, szukano związków tajnych z Węgrami. Nawet i to możemy stwierdzić, że gdy wydawano tajnie w drukarni Zakładu Narodowego im. Ossolińskich dziełka patrjotyczne, zabronione przez cenzurę austrjacką, to były między niemi także niektóre z pośród wskazanych w tym właśnie celu przez Mickiewicza w omówionem piśmie (Por. Krajewski J. „Tajne związki polityczne w Galicji", 1903, str. 21, 36 i n.). Jednem słowem tajna praca patrjotyczna w Galicji po r. 1833 szła prawie zupełnie w myśl programu wytyczonego przez Mickiewicza. Miałażby to być równoległość przypadkowa tylko? Jeżeli nawet tak, jeżeli pismo Mickiewicza nie dostało się do rąk „przyjaciół galicyjskich", to zaznaczona zbieżność między programem a życiem mówi dostatecznie o mądrości i trafności programu.

Memorjał Mickiewicza „Do przyjaciół galicyjskich" stanowi więc ostatnie jego słowo owoczesne w aktualnych, konkretnych sprawach życia narodowego, jest zarazem najdojrzalszem ujęciem poglądów jego w tej dziedzinie, doskonałym przykładem skojarzenia niezłomności w dążeniu do zbrojnego wyjarzmienia ojczyzny własnemi siłami — z przezorną roztropnością w przygotowaniu porywu zarówno, jak i w przysposobieniu społeczeństwa polskiego do samowiedzy i do jednolitości narodowej.

STANISŁAW PIGOŃ

Z cyklu: „WŁOCHY"

Dowiadujemy się z prasy o zgonie ś. p. Marji Grossek-Koryckiej. Urodzona w r. 1869 w Krakowie, w r. 1900 odznaczono została na konkursie poetyckim „Prawdy". Odtąd utwory jej poczęły ukazywać się w „Prawdzie" i w innych czasopismach. Zasłynęła jako talent poetycki; zbogaciła piśmiennictwo kilku cennemi książkami jak: „Medytacje". „Orzeł oślepły", „Niedziela Palm" i inne. Była żoną adwokata i literata Władysława Koryckiego.

DUOMO MILANESE

GIGANTYCZNYCH tuberoz gaj przedpotopowy
Strzelił w niebo, sklepiwszy wnętrze tajemnicze...
Ciszej!... bo tu jest ziemi z niebem pogranicze,
I są na raj wybite okna z tej budowy!

Dwie — widzisz? — bramy, z jednej sztuki kryształowej,
Zatrzaśnięte na głucho są tak malownicze,
Bo przez ich szybę widać róż edeńskich bicze,
Rajskich sadów motyle i skrzydlate głowy!

Zostawiwszy za progiem świat, życie i siebie,
Tu, wzrokiem wniebowzięty, oczyma-ś już w niebie!
Ptak złoty: Krzyż w powietrzu na ciemnościach wisi...

Duomo, Któż cię stworzył?!!... W kroniki milczące
Nie darmo mistrza tego nie wpisali mnisi:
Tyś sam się stał! — jak Alpy — jak Adrja i słońce.

SANTA MARIA SOPRA MINERVA

POZŁACANE na żebrach skrzydła szafirowe,
Co na nocleg stadami na powietrzu legły,
Obudowały dachem podniesioną głowę,
A ciemności zastygły w mur wkołoobiegły.

Z piór, w niebie wytarzanych, gwiazdy osypane,
Jak róże zasuszone biegną u powały —
A słońce po przez rozet wielką, szklaną ranę,
Śmiga na głaz szafiru i szkarłatu strzały.

W mroku, jak w ciemnym liściu biały kwiat azalij,
Bieleje dwóch Tytanów u Kamiennych alej:
Lewy: burza na czole — ekstatyczna przerwa...

Krzyż wielki obejmuje: swój miecz i swój zakon:
Chrystus Prometejański! — objaśnia diakon:
Santa Maria sopra Minerva.

MARJA GROSSEK KORYCKA

LIBERUM VETO

Francja duszona przez gady parlamentarne. — Sztuczne odcienie. — Psychologja tłumu. — Trzy socjalizmy. — Twórca naszego państwa i sprawca naszego zamętu. — Walka dwóch duchów. — Opór narodu. — Nie wolno mówić o Żydach, nie wolno dawać ludziom pracy bez zgody związków zawodowych.

SZKODA Francji! Genjalny i sympatyczny naród twórca najpiękniejszej kultury, rodzic najszczytniejszych idej leży dziś duszony przez gady parlamentarne. Nie potrzeba badać niszczących ją stronnictw, dość wymienić ich nazwy: komuniści, socjaliści, demokraci, radykałowie, socjalni radykałowie, republikanie socjalni, lewica republikańsko-demokratyczna, unja republikańsko-demokratyczna — czy te grupy, których sztandary różnią się nieuchwytnemi odcieniami jednej barwy, mogą mieć programy odpowiadające w rzeczywistości odmiennym żywiołom i dążeniom społecznym? Czy podobna pomyśleć, ażeby naród istotnie tak się rozpadł i zróżnicował? Nie, to tylko zróżnicowały się interesy i ambicje spekulantów politycznych. Dopóki słyszymy o socjalizmie, rozumiemy go. Ale gdy słyszymy o socjalizmie ciemno-czerwonym, jasno-czerwonym, czerwonym, różowym, blado-różowym— widzimy, że te barwy nie są smugami rozszczepionego światła ideologji reformatorskiej, czy rewolucyjnej, lecz sztucznemi zafarbowaniami fałszerzów rzeczywistości. Dopóki istnieją komórki w zdrowym organizmie, działają łącznie we wspólnym celu, ale gdy do tych komórek dostaną się robaki lub bakterje, każda ich grupa a nawet każda jednostka działa osobno. Francja objawia jeszcze tyle sił żywotnych, tyle mocy twórczej, że niepodobna uwierzyć, ażeby ona ulegała rozkładowi. To tylko gnije jej obecny parlamentaryzm, który gnije wszędzie. Ten budynek próchniejący na każdym gruncie, w każdym kraju, musi runąć i odbudować się na nowych podstawach.

Ludzie myślący, rozważając bieg dziejów, zadają sobie pytanie: dlaczego społeczeństwa, oświecone dokładnie na drodze swego rozwoju i mając przed oczami przekonywające przykłady, nie idą za wskazówkami rozumu i życia, lecz błądzą po manowcach głupoty i obłędu? Dlaczego chętniej słuchają głosów nierozsądku i szalbierstwa, niż mądrości i uczciwości? Psychologja daje odpowiedź. Na dążenia i czyny ludzkie daleko mniejszy wpływ wywierają pobudki wychodzące ze świadomości i rozwagi, niż z nieświadomości i instynktu. Pierwsze działają wolno i na dalszą metę, drugie szybko i natychmiastowo. Gdy przed ciemną i znędzniałą gromadą stanie dwóch mówców, z których jeden będzie ją wzywał do pracy a drugi do grabieży, z pewnością usłucha ostatniego, chociaż po własnych i cudzych doświadczeniach przekona się, że zbłądziła lub została oszukana. Można bez paradoksu powiedzieć, że życie społeczeństw, zwłaszcza nizkiej kultury, jest ciągłem tworzeniem doraźnego bezładu, który powoli pod światłem swych skutków zamienia się na porządek. Tłum woli drobną korzyść dzisiaj, niż wielką za rok. Tej rachuby nikt go nie oduczy nawet zapomocą najściślejszego wykazania jej udowodnionych błędów. Stwierdza się to u nas.

Nasza prasa prowincjonalna, nie zmechanizowana w tym stopniu, co stołeczna, myśleniem kategorjami „podkreślań", „likwidowań", „kompromisów" i tym podobnych nałogów bezmyślności, rozpatruje nieraz wypadki bieżące z nowych punktów widzenia. „Dziennik Wileński" zamieścił wyborny artykuł p. t. „Trzy socjalizmy". Tą nazwę obejmuje: komunizm, socjalizm partyjny (P. P. S.) i radykalizm socjalizujący. Ten trzeci, najmniej zwracający uwagi, jest jednak najgłówniejszym twórcą naszego chorego państwa i sprawcą jego rozstroju. „Przeważnie są to ludzie— mówi autor—nie mający nic wspólnego ani z właściwym socjalizmem, ani tembardziej z warstwą robotniczą. W byłym zaborze rosyjskim są to niemal wyłącznie wychowańcy szkół rosyjskich, niezwykle zbliżeni składem pojęć i wyobrażeń do smutnej pamięci nieszczęsnej inteligencji rosyjskiej. Przekleństwem tej grupy jest ślepa wiara, że socjalizm jest religją przyszłości, że opierać się mu nie należy, bo oprzeć się skutecznie niepodobna". Są to właściwi ojcowie naszej konstytucji, pokracznej, kalekiej, niezdolnej do zapewnienia narodowi prawidłowego rozwoju, stanowiącej rodzaj bajecznych potworów, pół-człowieka i pół-zwierzęcia. Są to również sprawcy zamętu w ustawach i rządach, targającego ciągle życie społeczeństwa sprzecznościami i starciami. Są to kierownicy maszyny państwowej o kołach niedopasowanych, wyłamujących swoje tryby, wymagających ustawicznej naprawy, która jej nie zapewnia normalnego ruchu. Niema dziś doktryny bardziej skamieniałej, zdogmatyzowanej, opornej wszelkiemu postępowi i gwałcącej życie, niż marksizm, a jednocześnie niema doktryny, któraby temu życiu mogła nadać formy stałe, niezmienne na całą przyszłość. Dopóki ludzkość składa się z narodów, przedstawiających ogromne różnice charakterów, ustrojów i kultur, dopóki te narody są organizmami ulegającemi prawom rozwoju, dopóty rozwiązywanie zadań ich życia jakąś ogólną formułą teoretyczną jest śmiesznem złudzeniem. To też gdziekolwiek marksizm się wszczepił, wszędzie okazał siłę rozkładową, a niemoc twórczą, a gdy spróbował tworzyć życie społeczne, płodził tylko karykatury. Karykaturą jest również nasza budowa państwowa, w której on wziął czynny udział, bądź bezpośrednio, bądź za pośrednictwem „radykalnej inteligencji socjalizującej", tego mieszańca szkodliwszego, niż najdziksze drapieżce czystej krwi. Jeżeli zważymy, że po odzyskaniu niepodległości Polska odczuwa radość wskrzeszenia i pragnienie utrzymania swego charakteru narodowego, że ona upaja się swoją wolnością, to zrozumiemy, jakim zgrzytem, jakim rozdźwiękiem, jaką zniewagą są dla niej hasła kosmopolityzmu i jak ona nie może ani z niemi pogodzić się, ani żyć pomyślnie w ustroju antynarodowym. Nawet wtedy, kiedy usiłuje oprawić się w jego ramy, bezwiednie je łamie i faktycznie opiera się gwałtowi, chociaż pozornie mu ulega. Ciągły protest społeczeństwa zwraca się nietylko przeciw nadużyciom i zawichrzeniom, ale również przeciw sprzecznościom organizacji państwowej z istotą narodu. W jego łonie odbywa się nieustanna i zaciekła walka dwóch duchów—swojskiego, który chce go utrzymać we właściwej naturze i obcego, który go usiłuje wynaturzyć. Jest to coś podobnego, jak gdyby ktoś starał się białą skórę Polaka pomalować pręgami czarnemi, żółtemi i czerwonemi, a on przeciw temu się bronił albo te farby zmywał.

Nie ulega wątpliwości, że tego przerabiania istoty polskiej dokonywają głównie Żydzi, żywioł politycznie i narodowo bezkształtny, niemający ani własnej ojczyzny, ani własnej kultury, ani własnej historji, rozpuszczony w międzynarodowości, na której pasorzytuje, wolny od patrjotyzmu, od wszelkich spójni łączących człowieka z rodzimą ziemią, pokrewną ludnością i jej instynkcjami. Dalszym ciągiem Starego Testamentu nie jest dla nich Nowy, lecz księga komunistyczna—Marksa. Ponieważ ta ewangelja żydowska dostarczyła dogmatów naszej wierze politycznej, nietylko oddziaływa ona na funkcje państwa polskiego, ale nadaje w niem przywileje swoim apostołom. Wiadomo, że w podręcznikach historji polskiej, zaleconych do użytku szkolnego, znajdują się bardzo ostre sądy o szlachcie, księżach i monarchach a nikt nigdy z tego powodu nie występował ze skargą do władz rządowych. Tymczasem, gdy w pewnym podręczniku szkolnym autor ośmielił się twierdzić, że handel u nas pozostawał prawie wyłącz-

nie w ręku Żydów ze szkodą i krzywdą ludności polskiej, natychmiast zjawiła się u ministra deputacja, żądająca usunięcia tej zupełnie prawdziwej opinji. Już nie zapytać, ale ze zgrozą krzyknąć należy: czem jest to nieszczęsne państwo polskie i dokąd ono idzie? Jednocześnie w pewnym teatrzyku warszawskim wyśmiano królów polskich. Żadna deputacja z tego powodu nie poskarżyła się władzy, tylko podczas przedstawienia rzucono na scenę parę zgniłych jajek. Ten protest uznany został nietylko przez stróżów porządku publicznego i... wolności za karygodny, ale za dziwny, gdyż — jak zaznacza jedna z gazet — publiczność obrażona w swych uczuciach narodowych „dotychczas opuszczała widowisko z niesmakiem, ale zawsze cicho, grzecznie i bez szemrania".

„Cicho, grzecznie i bez szemrania" poddają się zwykle związkom zawodowym kierownicy instytucyj i przedsiębiorstw, w których pracują robotnicy. Nie chciał uledz tej tyranji naczelnik kanalizacji w Łodzi i... musiał podać się do dymisji. Niech żyje wolność w demokratycznej Rzeczypospolitej, w której nie wolno mówić w podręcznikach szkolnych, że Żydzi zawładnęli handlem i dawać pracę robotnikom bez zgody związków zawodowych! O, Bolszewjo, jakże piękne uwiłaś sobie u nas gniazdko!

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

TRAGEDJA HUBERTA LINDEGO

BIEDNY człowiek—biedna Polska!

Los wyniósł go na wysokie stanowisko w wolnej Polsce, niestety zbyt wolnej. Stanowisko okazało się karkołomne. Zdarzyło się tak skromnemu dotąd urzędnikowi, że mógł, wyspecjalizowawszy się na wzorze austryjackim, założyć w Polsce bardzo nowożytną instytucję przekazowo-finansową, Pocztową Kasę Oszczędności. Zdarzyło się tak, że uzyskał statut, który nie krępował jego ruchów zależnością od biurokracji i że mógł wiele zdziałać użytecznego dla państwa i społeczeństwa. Gdyby zapytać przeciętnego obywatela, kto w Rzeczypospolitej pracował z najwydatniejszym rezultatem, każdyby odpowiedział: Hubert Linde.

Owoce jego pracy były tak uderzające, że w ubogiej na ludzi Polsce zaczęto go poczytywać za mocarza, który wszystko potrafi. To też w pewnym momencie powołano go na stanowisko ministra skarbu, do czego nie był odpowiedni. Nie był to umysł wszechstronny, nie ogarniał całości życia gospodarczego, ani też zadań ogólnych finansowości; doskonały był w swoim zakresie. Wziął się do pracy w czasach ciężkich. Inflacja groziła zalewem. Zmieniali się bezradnie ministrowie skarbu, szukający łatwego wyjścia w maszynie drukarskiej. Wezbrany pieniądz, znajdując dogodny kanał w P. K. O., zalał Lindego. Nie tracąc przytomności Linde ratował dobro państwa od zagłady w ten sposób, że lokował pieniądz w nieruchomości, budował domy i w ten sposób zamiast papieru bezwartościowego, który miał skarbowi pozostać w zysku, oddał państwu w czasach stabilizacji złotego miljonowy majątek. Ile przytem dobrego zrobił w Warszawie i w innych miastach, że budował i ludziom dawał dach nad głową, gdy domy stare waliły się, a inteligencja koczowała po miastach, to stanowi osobną kartę jego zasług, która mu zjednała opinję dobroczyńcy.

Był to istotnie człowiek dobrego serca. Sam ascetyczny w potrzebach osobistych, nie znosił koło siebie widoku ludzi losem nękanych. Miał więc u szczytu swej karjery lata szczęśliwe, miał zadowolenie, że jest użyteczny, twórczy, popularny, nawet kochany. Ale była też odwrotna strona medalu. Zyskał jednocześnie wrogów, przedewszystkiem politycznych. Jeszcze jako minister poczty narażał się socjalistom, na których ciężko choruje nasze państwo. Nie chciał być od nich, od ich związków zawodowych zależny i potrafił się uniezależnić. Zaprzysiężono mu walkę na śmierć i życie. Prasa socjalistyczna ścigała go, rzucając na niego oszczerstwa, że np. zarobkował na filatelistyce, komponując nowe znaki do listów i t. p. I dziś po śmierci powtarzają to wysługujące się socjalistom brukowce.

Groziły mu dalej niebezpieczeństwa jako człowiekowi, który dysponuje wielkiemi pieniędzmi, a zamiast krat ma ludzi koło siebie niezawsze żelaznego hartu. Nie zabezpieczył się dostatecznie, nie uszczelnił mianowicie serca od własnego brata, który mu zawsze imponował, a ktorego inni mogli użyć jak podkopu do twierdzy. Byli ludzie, którym zależało na słabości Lindego, którzy szukali skandalu, aby twórcę P. K. O. skompromitować. Rząd pozostający pod presją socjalistów i ciągle im się okupujący ustępstwami, oddał zbadanie sprawy sądowi. Wytoczony Lindemu proces skonstruowano w ten sposób, że posadzono go na wspólnej ławie oskarżonych z tymi, którzy wpadli w ręce sprawiedliwości, jako sprawcy rabunku. W tem śmiertelnem *junctim* wysoki dygnitarz, który ostatecznie — jeśli był winien — to służbowej nieoględności, męczył się pod pręgierzem kilka dni procesu. Jednocześnie zaś odbywał się drugi proces w prasie radykalnej, który „hecował" przeciwko nieszczęsnemu człowiekowi opinję ulicy i ten był decydujący. Stało się, że dokończył procesu ktoś z ulicy w myśl oskarżeń prasy socjalistycznej. Zanim wyrok zapadł, Linde padł na ulicy z ręki jakiegoś manekina.

Obawiano się—mówił wykonawca tego wyroku—że sąd Lindego uwolni... I oto nowy obraz stosunków, jak wymykają się te stosunki słabym rękom państwa. Gdy się idzie na ustępstwa rozkładowi, to trzeba mu wkońcu oddać na łaskę i niełaskę interesy państwa polityczne; trzeba mu oddać na poniewierkę wojsko, a wreszcie sąd. Wolno było zakładać protesty przeciw wyrokom sądu w sali „Malinowej", stąd wniosek, że trzeba już sąd wyręczać, bo nie można ufać wymiarowi sprawiedliwości. Doszliśmy do takiego brzegu, że jeśli nie zawrócimy, to wpadniemy w przepaść.

Hubert Linde—to fragment dziejów twórczości polskiej z czasów, gdy nie było jeszcze dla niej dostatecznego oparcia w mocnej budowie państwowej. Ciężkie są te pierwsze lata wznowionych dziejów, lata socjalistyczne, lata pochyłości, ociekającej ślizkiem błotem, ciężkie zwłaszcza dla ludzi śmiałego kroku, jak Linde. Człowiek ten kochający pracę, nie miał warsztatu spokojnego, jak jego dziad Samuel Bogumił Linde, który nam zostawił słownik języka polskiego. Budował rzecz żywą na pochyłości wśród ludzi, nie zawsze skorych do pomocy, w niezdrowych warunkach politycznych i gospodarczych. Gdyby mu okazano cząstkę tego pobłażania dla win, jeśli je miał, którem pokryto jawną korupcję i rozrzutność innych ludzi, i nie wydano go na igrzysko motłochu, mógłby pożytecznie długie lata dla państwa pracować.

Sąd uwolnił Lindego od zarzutu świadomego działania na szkodę P. K. O. natomiast dał sposobność, że złożono o nim wiele chlubnych świadectw. Uznano jego zasługi twórcze i zupełną bezinteresowność. W ostatniem słowie jego, które było testamentem, mówił, błagając o sprawiedliwość: „Chcę mieć prawo w Polsce żyć i pracować, poza tem niczego więcej nie chcę". Pokazuje się, że było to wymaganie zbyt wielkie.

(X)

„Z MNIEJSZYM TUPETEM...“

Z „FELJETONU literackiego“ p. Emila Breitera, zamieszczonego dn. 28 marca w „Nowym Kurjerze Polskim“ przytoczyłem w nr. 14 „Myśli Narodowej“ („Głosy“) następujący urywek:

„Znamy wielkich publicystów nacjonalizmu. Nie mówię o Barresie, który głosił obowiązek posłuszeństwa kościołowi, nie jako postulat wiary, ale nakaz porządku społecznego, lecz o Maurrasie i najmłodszym świetnym teoretyku nacjonalizmu p. P. Georges Valois. U nich nasi „wychowawcy“ i „twórcy cywilizacji narodowej“ powinni się uczyć metody naukowej i socjologicznej“.

Przytoczony urywek poddałem krótkiej analizie, stwierdzając, na podstawie cytatów i faktów, że:

a) sformułowane przez p. Breitera w sposób tak symplistyczny rzekome stanowisko Barrésa nie odpowiada bynajmniej skomplikowanemu religijno-mistycznemu poglądowi na świat znakomitego pisarza;

b) pogląd, który p. Breiter pragnie przypisać Barrésowi jest — właśnie naodwrót — poglądem, głoszonym przez Maurrasa;

c) p. Georges Valois, jako teoretyk nacjonalizmu, z trudem może być uważany za „najmłodszego“, pracuje bowiem na tem polu już od r. 1906.

Uwagi te, rzucające światło na sumienność p. Breitera, jako krytyka, oraz na rzeczywistą wartość rzekomej jego „erudycji“, ukazały się w „Myśli Narodowej“ dn. 2 b. m. Dopiero w dwa tygodnie później t, j. dn. 16 b. m. zamieścił p. Breiter w „Nowym Kurjerze Polskim“ odpowiedź, najwidoczniej starannie opracowaną i przemyślaną. Odpowiedź tę, również w trzech punktach sformułowaną, przytaczam w całości:

„1) nigdzie nie przeciwstawiałem Barresa Maurrasowi, a twierdzenie p. j. r. wytłomaczyć mogę tylko złą wiarą lub przekręceniem logicznego i literackiego sensu zdania. Pisałem „nie mówię o Barresie,... lecz o Maurresie“. To nieprzeciwstawienie, lecz potęgowanie twierdzenia.

2) twierdziłem, że Barres, a w wyższym stopniu Maurras byli pragmatystami w stosunku do zagadnienia wiary i Kościoła. Dla nacjonalizmu kościół jest zawsze instrumentem i instytucją porządku społecznego. Cytowane przez p. j. r. zdanie Barresa „Kościołowi Francji trzeba świętych“, potwierdza moją tezę.

3) Pan j. r. denerwuje się, że zacytowałem nazwisko Georges Valois jako najmłodszego nacjonalisty. P. j. r. nie wie zapewne o tem, że Georges Valois był do r. 1912 monarchistą i wydał znaną „*Enquete sur la monarchie*“. W r. 1912 założył razem z Edouardem Berthem uczniem Sorela, „*Le cercle de Proudhon*“, w którym zamierzano walczyć z demokracją z podwójnego stanowiska: narodowego i syndykalistycznego. (Faszyzm i komunizm w zarodku). *Cercle de Proudhon* rozbił się w chwili wybuchu wojny, kiedy Berth poszedł na lewo w stronę komunizującego syndykalizmu, a Valois z monarchisty stał się czystej krwi nacjonalistą. Pana j. r. który widocznie nie widzi różnicy między monarchistami a nacjonalistami odsyłam do bardzo interesujących i napewno dla niego instruktywnych „*Cahiers du Cercle de Proudhon*“. A może wtedy będzie z mniejszym tupetem zarzucał innym ignorancję“.

Tą odpowiedzią p. Breiter odsłonił się ostatecznie i bez ratunku. Sam, dobrowolnie, ujawnił swe „metody“, jako krytyka, wiarogodność podawanych przez siebie informacyj, wartość swego kunsztu pisarskiego, inteligencji i wiedzy. Rozpatrzmy jego odpowiedź dokładniej:

ad 1) Przytoczony poprzednio, obecnie zaś raz jeszcze powtórzony tekst urywka feljetonu p. Breitera nie mógł być zrozumiany inaczej, jak tylko jako chęć przeciwstawienia poglądu Barrésa poglądom Maurrasa i Valois. W przeciwnym wypadku tekst staje się wogóle niezrozumiały, jest dowodem nieporadności stylistycznej autora i zgoła niepochlebne jego zdolnościom pisarskim wydaje świadectwo. W języku polskim konstrukcja „nie... lecz...“ pospolicie używana jest właśnie dla przeciwstawienia, np. „nie Polak, lecz Żyd“, „nie czytał książki, lecz o niej pisze“ i t. p. Weźmy zresztą zdanie następujące (całkiem już analogicznie zbudowane): „nie mówią o krytyku, który opinje swe wygłasza nie gołosłownie, ale na podstawie sumiennych badań i rzeczywistej znajomości przedmiotu, lecz o p. Breiterze...“ Czy p. Breiter istotnie uważa to zdanie za „potęgowanie“ hołdu dla jego ścisłości i sumienności, jako krytyka?

ad 2) P. Breiter twierdzi, iż zdanie Barrésa: „Kościołom Francji trzeba świętych“ potwierdza tezę, że Barrés „głosił obowiązek posłuszeństwa Kościołowi nie jako postulat wiary, lecz porządku“... A możeby tak spróbował wyjaśnić, na podstawie jakich logicznych przesłanek doszedł do owego osobliwego wniosku że... „potwierdza“?

ad 3) Najbardziej zabawne jest jednak następujące zdanie „odpowiedzi“: „P. j. r. nie wie zapewne o tem, że Georges Valois był do r. 1912 monarchistą i wydał znaną *Enquete sur la monarchie*“. P. Breiter, tak kategorycznie formułujący zazwyczaj swe twierdzenia, tym razem najniepotrzebniej w świecie chciał być ostrożny, używając wyrażenia: „zapewne“... Nie wiem, przyznaje odrazu, że nie wiem... I niema w tem nic tak dalece dziwnego, skoro autorem książki p. t. „*Enquete sur la monarchie*“ (w wydaniu książkowem ukazała się po raz pierwszy w r. 1909 nakładem „*Nouvelle Librairie Nationale*“) był nie Valois, lecz właśnie Charles Maurras. (P. Breiter zechce sam przyznać, jak zbędny jest „tupet“, jeśli chodzi o zarzucenie mu ignorancji). Zresztą słusznie całkiem zaznaczył p. Breiter, że „*Enquete sur la Monarchie*“ jest książką „znaną“, dodaćby można jeszcze, iż doczekała się ona wielu wydań (m. in. w r. 1912, 1913, 1915, 1916, 1918, ostatnio przed rokiem, jako „*edition définitive*“) i że znajomość tej książki dla zrozumienia nacjonalizmu francuskiego jest absolutnie konieczna.

Nie jest też słuszne twierdzenie p. Breitera, jakoby Valois „z monarchisty stał się czystej krwi nacjonalistą“ dopiero „w chwili wybuchu wojny“. Był nim już przedtem, jak świadczy choćby wydana przezeń przed wojną obszerna książka p.t. „*La monarchie et la classe ouvrière*“ (Np. str. 277 i następne) I jakkolwiek dobrze świadczy o bystrości p. Breitera spostrzeżenie różnicy między pojęciami „monarchista“ i „nacjonalista“, jednak cały bez wyjątku nowoczesny monarchizm francuski czerpie swą siłę właśnie z zasad nacjonalistycznych.

Może być, iż trochę za szczegółowo potraktowałem na tem miejscu sprawę p. Breitera, w gruncie rzeczy drobną i błahą. Ale chodziło mi właśnie, aby pewni ludzie zaczęli wreszcie u nas pisać... „z mniejszym tupetem“.

JAN REMBIELIŃSKI

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Ustąpienie ministrów-socjalistów. — Program równowagi budżetowej i program inflacji. — Pierwszy krok w kierunku naprawy ustroju. — Międzynarodówka socjalistyczna przeciw Polsce.

KLUB parlamentarny Polskiej Partji Socjalistycznej uchwalił jednomyślnie dn. 20 b. m. odwołanie z „gabinetu koalicyjnego“ zasiadających w nim dotychczas ministrów-socjalistów. Tegoż dnia złożyli prośby o dymisję: minister pracy i opieki społecznej pos. Ziemięcki, minister robót publicznych pos. Barlicki oraz wiceminister robót publicznych pos. Hausner. Koalicja, na której dotychczas opierał się rząd p. Skrzyńskiego, przestała istnieć wobec zbyt daleko posuniętej różnicy poglądów między pozostałemi stronnictwami koalicji a P. P. S. Na czem owa różnica poglądów polegała?

Na posiedzeniu Rady Ministrów dn. 17 b. m. minister skarbu Zdziechowski przedstawił projekt naprawy stosunków gospodarczych i skarbowych, oparty u podstawy na konieczności zabezpieczenia równowagi budżetowej. Projekt odnośnej ustawy przewidywał podwyższenie dochodów (między innemi od dn. 1/VII 1926 do dn. 1/VII 1927 r. obowiązywać miał osobny podatek nadzwyczajny w wysokości 10% od podatków bezpośrednich, pośrednich, opłat stemplowych, podatku spadkowego, darowizn i zaległości) oraz zmniejszenie wydatków przedewszystkiem przez zniesienie t. zw. „ruchomej mnożnej“ uposażeń funkcjonarjuszy państwowych i ustalenie tych uposażeń w wysokości, obowiązującej dn. 1 grudnia 1925 r. Ponadto zamierzał min. Zdziechowski wprowadzić szereg dalszych oszczędności w dziedzinie administracji kolejowej i wojskowej. Aby zaś ostatecznie uniemożliwić wszelkie próby ukrytej inflancji, wniósł jednocześnie projekt ustawy, ograniczającej emisję bilonu do wysokości 14 zł. na jednego mieszkańca Rzplitej i zapewniającej stopniowe wycofanie z obiegu biletów zdawkowych.

Programowi temu przeciwstawiła się P.P.S. stawiając żądania, wiodące prosto i natychmiast na równię pochyłą inflacji (podwyższenie uposażenia funkcjonarjuszy państwowych o 5 „punktów“, zmniejszenie ustawowego zabezpieczenia kruszcowego dla biletów Banku Polskiego i umożliwienie w ten sposób dalszej ich emisji i t. d.). Porozumienie okazało się niemożliwe. Stało się jasne, iż P.P.S. nie zamierza narażać swej pupularności wśród wyborców, biorąc odpowiedzialność za stosowanie metod przykrych, bolesnych, wymagających od obywateli najdalej posuniętych wyrzeczeń, ale jedynych, jeśli chodzi o uratowanie Polski przed katastrofą gospodarczą i... kuratelą finansową Ligi Narodów... Rozpoczęła się walka jasna, zdecydowana, między programem równowagi budżetowej a programem inflacji.

Od nowego „przesilenia“ i związanych z niem strat i niebezpieczeństw ocalił Polskę Prezydent Rzplitej, odmawiając dymisji, którą mu nazajutrz po ustąpieniu socjalistów złożył w imieniu gabinetu premjer Skrzyński. Dalszy rozwój wypadków i losy dzieła naprawy zależą teraz od Sejmu i od stanowczej, świadomej powagi położenia postawy społeczeństwa.

Że zrozumienie konieczności naprawy obecnego stanu rzeczy staje się w Sejmie coraz bardziej powszechne, świadczy wniosek w sprawie reformy Konstytucji, zgłoszony wspólnie przez Zw. Lud.-Nar., Chrz. Dem., P. S. L. i N. P. R. Wniosek ten, stanowiący pierwszy, nieśmiały krok na drodze reformy ustroju, proponuje wzmocnienie władzy Prezydenta Rzeczypospolitej przez nadanie mu prawa rozwiązania Sejmu i Senatu. W myśl wniosku, artykuł 26 Konstytucji Rzeczypospolitej otrzymałby brzmienie następujące:

> „Sejm, jak również i Senat mogą się rozwiązać mocą własnej uchwały, powziętej większością dwóch trzech głosów, przy obecności połowy ustawowej liczby posłów, względnie senatorów. W razie powzięcia takiej uchwały przez Sejm, równocześnie z samego prawa rozwiązuje się Senat i odwrotnie.
>
> Prezydent Rzeczypospolitej może rozwiązać Sejm i Senat orędziem, kontrasygnowanem przez Prezesa Rady Ministrów. Wybory odbędą się w ciągu dni 90-u od dnia rozwiązania: termin ich będzie oznaczony bądź w uchwale Sejmu względnie Senatu bądź w orędziu Prezydenta o rozwiązaniu Sejmu i Senatu“.

Ale dalsza praca w kierunku naprawy ustroju Państwa jest konieczna. Czeka przedewszystkiem najpilniejsza i najważniejsza ze wszystkich, sprawa zmniejszenia liczby posłów i senatorów i wogóle zmiany ordynacji wyborczej.

Ze spraw zagranicznych znamienne są uchwały Egzekutywy II Międzynarodówki Socjalistycznej, która zebrała się dn. 11 i 12 b. m. w Zurychu. Z ramienia P. P. S. obecni byli pos. Diamand i pos. Niedziałkowski. Uchwalono rezolucję, żądającą udzielenia Niemcom stałego miejsca w Radzie Ligi Narodów i jednocześnie wypowiadającą się przeciwko udzieleniu stałego miejsca Polsce. P. P. S., która nie może współpracować w Polsce z min. Zdziechowskim, może jednak, pomimo tej uchwały, pozostawać w dalszym ciągu w II Międzynarodówce i na jej terenie współpracować z wrogiemi Polsce elementami... Tutaj widocznie różnice poglądów nie są tak wielkie...

IGN.

WYCHOWANIE NARODOWE

FUNDAMENT WYCHOWANIA

SZUKAMY wszyscy w Polsce nowych dróg w dziedzinie wychowania narodowego. W książkach i czasopismach pedagogicznych zjawiają się od czasu do czasu nowe myśli, nowe wskazówki; częściej nowe pytania, nowe zagadnienia: jak wychowywać dziś? jak realizować słuszne zasady wychowawcze? jaki typ Polaka jest nam potrzebny? I wielu nauczycieli, wiele rad pedagogicznych stoi bezradnie wobec tych zagadnień.

Przystępując do budowy nowego gmachu wychowania narodowego, w pierwszym rzędzie trzeba się zastanawiać nad fundamentem, na którym ma być gmach zbudowany. I tu jest zupełnie jasne: żeby uczyć, trzeba przedewszystkiem umieć; żeby wychowywać, trzeba przedewszystkiem kochać. Naturalnymi wychowawcami są ojciec i matka, bo mają naturalną więź serdeczną z dzieckiem. Poza rodzicami wychowywać może tylko ten, kto umiał w sobie wzbudzić i wypracować serdeczną życzliwość dla dzieci.

Zapewne, wielu powyższa myśl wyda się banalną, płytką i starą. O miłości w wychowaniu tyle razy mówiono już rzeczy głębsze i płytkie, mądre i zupełnie niemądre, niekiedy tryskające żywą prawdą, częściej znacznie pełne kłamstwa i fałszu. Zapewne. Ale, jak sprawa wychowania jest stara, jak świat, tak mowa o miłości przy wychowaniu jest również stara. Chodzi tylko o jedno: czy miłość naprawdę w praktyce łączymy z wychowaniem?

Jest wielu nauczycieli, którzy uczą bardzo dobrze; zdaje im się, że wszystko robią, co do nich należy, nawet prawdopodobnie kochają naprawdę swą szkołę. Ale jest to często miłość zawodu, a więc i miłość tej gromady, bez której nie byłoby tej miłej czynności przelewania swej wiedzy do umysłów dzieci, bez których nauczyciel wyobrazić sobie nie może ani swego życia, ani swych prac. Niema tu jednak tych osobistych wiązadeł dusz, niema głębiej sięgających zadzierzgnięć, niema spójni nauczyciela z uczniem... może niemiłym, niegrzecznym, tępym. A właśnie ta nić, wysnuta z duszy nauczyciela i wprowadzona do duszy dziecka, decyduje często o powodzeniu całej pracy wychowawczej. Ona właśnie— ta życzliwość—sama jedna często sprawia niemal wszystko i w podziw wprowadza. Oczywiście o ile nie jest narzędziem w ręku szalonego lub bardzo lekkomyślnego człowieka.

Jeżeli przez wychowanie będziemy pojmowali te zabiegi nasze, które zmierzają do spowodowania najwyższego rozrostu indywidualnych wartości dziecka i skierowania ich ku dobru ogółu, to przecież musimy się dostać do duszy dziecka, by tam ten wzrost spowodować. Ten sezam serca dziecięcego otworzy się nam jedynie przez serdeczną, szczerą, nieobłudną życzliwość.

Czyż to jest możliwe dla ogółu nauczycieli? Czy w tem niema przesady? Nie, w tem niema przesady. To jest zupełnie możliwe. Trzeba tylko o tem myśleć; trzeba każde przyjemne czy nieprzyjemne zdarzenie w szkole z tego punktu widzenia analizować; wpatrywać się w rezultaty ujemne i dodatnie naszych prac — a przekonamy się, że tylko z tego wysokiego punktu widzenia, oparłszy się o serdeczną życzliwość, możemy w czyn wprowadzać naszą godną ambicję wychowawczą. Tegośmy chcieli przecież od naszych nauczycieli, tośmy w nich tak bardzo cenili. Naśladujmy tych, którzy nam to serce okazywali.

Kto tego nie rozumie, ten nie może brać udziału nietylko w opracowywaniu czy wykonywaniu systemu wychowania narodowego, ale nawet poprostu nie może być nauczycielem. A nie można tu się tem zasłaniać i uspakajać, że ja przecież nie krzywdzę, staram się nie szkodzić nigdy. To za mało. Ba, jeszczeby — szkodzić! Kto komu? Wychowawca wychowankowi? Nie, to zamało nie krzywdzić. Wychowanie jest czynnością pozytywną. Tu się musi ciągle mieć na myśli, codziennie, na każdej lekcji rozbudowę duszy dziecka, wzrost zdrowego ziarna, a zanik zielska, chwastu. Czy przy modliwie, czy przy zabawie, w pracy i w żartach musi nauczyciel myśleć: czy moje słowa, moje spojrzenie, postępowanie, gest, pomagają dziecku do wzrostu, czy szkodzą?

Bywa jednak wstręt naturalny, niewytłómaczona antypatja do ucznia. To też, by sobie dopomódz w zdobyciu i okazywaniu życzliwości i dla takich jednostek, pamiętać trzeba o jednej, niewątpliwej prawdzie: że każde dziecko ma przecież coś dobrego w sobie, jakąś zaletę, jakiś przymiot. Ten jest tępy, ale grzeczny, tamten niegrzeczny, ale zato serdeczny, inny bez serca, ale czysty, inny brudas, ale wesoły, jeszcze inny ponury, ale pracowity, ktoś próżniak, ale uczynny i t. d. i t. d. Starajmy się poznać te zalety każdego ucznia, uznajmy je, zastanawiajmy się nad niemi, okazujmy uczniowi, że go cenimy, a z pewnością, nie wiadomo kiedy, zbliżymy się do tego ucznia, idąc za tą właśnie jedyną nawet piękną nitką. To uznanie dobra w dziecku ma niesłychanie dodatnie znaczenie w sprawie wychowania człowieka. Już Trentowski zwrócił na to uwagę, mówiąc: „każdy człowiek, najbardziej nawet ograniczony, ma w sobie coś takiego, czem jest wyższy nad innych ludzi". Szukajmy w subtelnym instrumencie duszy dziecięcej szlachetnych, górnych strun i znalazłszy je, dopomóżmy mu zagrać na nich. Jakże się nielubiane dziecko ucieszy, jakże nam będzie wdzięczne, jak nam zaufa! I my się zdumiejemy, żeśmy znaleźli to, czegośmy się tu najmniej spodziewali. Zainteresuje nas dziecko, zbliżymy się do niego, prysną lody naturalnej antypatji i nawiąże się pomiędzy nami a niem nić serdeczna, nierozerwalna. Jakiż to triumf wychowawcy, jakaż to radość prawdziwa!

Dopiero wówczas, kiedy tak są przygotowane dusze nauczycieli, można zacząć mówić o tworzeniu systemów wychowawczych. Każdy system, nie postawiony na tym gruncie, nie ma podstaw, nie ma szans rozwoju. Kiedy więc dziś zastanawiamy się nad polskim systemem wychowawczym, kiedy sobie stawiamy zagadnienie, jakiego mamy wychować Polaka? — musimy sobie najpierw dać odpowiedź my sami: czy mamy w duszach nauczycielskich naprawdę serdeczną, głęboką życzliwość dla każdego dziecka polskiego, które wstępuje w nasze szkolne progi?

Bez tej podstawy nie da się w Polsce zbudować żadnego systemu wychowawczego. A nie da dlatego, że w duszy polskiej, w tej *dulcis sanguis Polonorum,* ta życzliwość do ludzi od dawien dawna tkwi głęboko i stale. U nas przecież do każdego Polaka najłatwiej trafić właśnie w imię tego hasła, w duszy każdego z nas naprawdę jest kult dla dobrego człowieka. Dziś, po stuletniej niewoli, może ta nasza wrażliwość na dobre, życzliwe serce jest nieco przytępiona, ale nie wyniszczona, bo leży w naszym narodowym charakterze. Kopernik, kanonik toruński, w Toruniu był więcej znany ze swego miłosierdzia, niż nauki. A przecież przez usta żadnego jezuity nie przeszło w ogniu walk religijnych XVI wieku to, co przeszło przez usta naszego x. Skargi podczas walki z kalwinistami: „heretyctwo złe, ale krew miła"! Wyrazicielami tej cechy ducha polskiego są wszyscy ci, ktorym naród wiekopomne pomniki postawił: Mickiewicz, Kościuszko... A charakter domu polskiego, matek Polek, o ile nie zatracił obyczaju polskiego, czy nie jest świadkiem tej życzliwości rodzinnej i sąsiedzkiej?

I choćbyśmy dzisiaj stawiać narodowi mieli nowe cele i nowe drogi, musimy się liczyć z przeszłością, z tem, co leży w duszy narodu. Mądrze przestrzega pracowników, którzy mają wskazywać narodowi nowe drogi, Andrzej Zamoyski, mówiąc: „Przeszłości bowiem zabytki są tak silne i niespożyte, że kiedy one nawet w szału chwilach burzy ręka człowieka — przecież odbudowuje on z tych samych materjałów, z tych nawet gruzów". A właśnie życzliwość braterska żyje w naszych dziejach.

Na tej życzliwości musi się budować dziś nowa szkoła polska. Życzliwość do dzieci musi być pierwszym przymiotem nauczyciela polskiego.

Tylko tę życzliwość, tę dobroć, tę serdeczność trzeba traktować nie lekkomyślnie, nie ironicznie, ale poważnie i głęboko, wtedy łatwo w dyskusji znajdziemy linje styczne. Bo przecież w praktyce okazywać i wykonywać tę życzliwość możemy rozmaicie. Jeden dyrektor czy nauczyciel będzie tę życzliwość wcielał w życie drogą systemu patrjarchalnego, u niego w szkole będzie jak w domu, jak w rodzinie, inny będzie pełen życzliwości, ale jednocześnie pełen rygoru i subordynacji, u niego w szkole będzie jak w wojsku; jeden będzie wylewny uczuciowiec, inny zimny, zamknięty w sobie, milczący. I dzieci to zrozumieją i będą kochać i szanować zarówno wylewnego, jak milczącego, łagodnego jak i surowego — byle zawsze widziały prawdziwie życzliwe dla siebie uczucie. Dzieci odróżnią formę od treści. I poddadzą się łagodnie kierownictwu takiego czy innego zwierzchnika, bo Polak poddaje się rządom kochającego serca.

W głębokiej trosce o odrodzenie narodu i powstrzymanie go przed upadkiem, układając system wychowania narodowego, jakież hasło umieściła Komisja Edukacji Narodowej na murach nowej szkoły polskiej, czyż nie to, zdawałoby się, banalne, oklepane, płytkie: „po to się uczysz w tej szkole, aby ludziom było dobrze z tobą i tobie z ludźmi".

I w dobie dzisiejszej to hasło szkoły polskiej nic nie straciło na wartości. Dziś to wewnętrzne rozdarcie, rozproszkowanie społeczeństwa i w życiu publicznem i prywatnem, niechęć do pracy wspólnej, do zbierania się nawet w celach towarzyskich — czyż nie wskazuje na system wychowania narodowego taki, któryby następne pokolenie bardziej zbliżył, zjednoczył? Czy ta duża rozmaitość grup etnicznych, zamieszkujących Polskę, nie poucza nas, że dla wewnętrznej siły i spoistości narodu potrzebne są obok innych w dużej mierze uczucia wyrozumienia i harmonijnego współżycia.

Mądre było hasło Komisji Edukacji Narodowej nietylko dlatego, że przyjemnem czyniło życie jednostek, ale przedewszystkiem dlatego, że dawało narodowi spójnię, a więc olbrzymią siłę. Dla szczęścia Polski tak właśnie należy wychowywać młode pokolenie.

Nie chodzi tu o ten czy inny system wychowawczy, o całokształt jego budowy. Nie ten był cel niniejszego artykułu. Na jedno tylko miał on zwrócić uwagę, mia-

nowicie, że jakikolwiek będzie opracowywany plan wychowania narodowego w Polsce, czy to przez Ministerstwo Oświecenia, czy przez organizacje oświatowe, czy przez prywatne jednostki, jeżeli się chce, żeby się ten plan przyjął w narodzie, — trzeba przedewszystkim głęboko wmyśleć się w podstawę wszelkiej pracy wychowawczej, w chrześcijańską zasadę miłości.

X. JÓZEF ROKOSZNY

NAUKA I LITERATURA

„OZIMINA" I „WESELE"

DRUGIE, zmienione w kilku szczegółach wydanie „Oziminy" *), nie wywołało nowych ocen czy sprawozdań, a należałoby się podjąć tego choćby pod kątem modnego zawsze przewartościowania pojęć literackich. Nic dziwnego jednak, że „Ozimina" nie poszła pod sąd pochopnych a niedość przygotowanych krytyków, gdyż ekspresyjnością stylu, zwartością kompozycji, tajemnicą wreszcie swej oryginalności twórczej—wymaga specjalnych rozważań, studjów niemal, intuicji i metody krytycznej. Nie chodzi też tutaj o taką syntezę ani analizę tej powieści,chodzi tylko o wskazanie pewnych podobieństw ideowych i formalnych, jakie tę powieść wiążą z tragedją „Wesela".

„Ozimina", ogłoszona po raz pierwszy w kilka lat po wydarzeniach 1904—6 roku, wywarła wówczas wrażenie wielkie, a rozpatrywano ją głównie pod kątem zagadnień narodowych i społecznych, tkwiących w niej i ostrzem wyrzutu godzących w społeczeństwo ówczesne, co z drugiej strony dawało pewną, bolesną satysfakcję pokoleniu najmłodszych, inne już zamysły, marzenia i czyny hodujących na ławie szkolnej, w szeregach związków wojskowych, czy w tajnych organizacjach. Większych jednak rozmiarów popularność nie stała się udziałem tej książki z powodu jej rzekomej „niezrozumiałości"; dla szerszej publiczności bowiem bliższemi były zawsze kongenjalne, a przystępniejsze powieści Żeromskiego, lub lżejsze o cały ciężar czucia wszechnarodowego i wyrobionego filozoficznie umysłu, partyjne romanse jego szkoły.

Dziś inaczej się czyta „Oziminę". Dziś satyra, tkwiąca w tej powieści nie straszy swą pozorną beznadziejnością, podobnie jak postacie dodatnie, zgrzybiały powstaniec, Wanda i Jędrzej Niemsta wraz z symbolem płodności, największej mocy życia, zamykającym książkę — nie są już wartościami tak nam blizkiemi, jak były w chwili ogłoszenia utworu. Pozostaje dziś inny, węższy, ale bardziej estetyczny stosunek do dzieła, chodzi nam raczej o styl, kompozycję i inne wartości formalne, oraz o analizę tego obrazu wszystkich warstw i stanów społeczeństwa polskiego, o zbadanie tego studjum społecznego, jakiem również jest powieść autora „Próchna".

I tutaj przy najogólniejszem nawet wniknięciu w sens tego wszechstronnego obrazu uderza niewątpliwe, zewnętrzne i istotne podobieństwo: „Ozimina" powstała na tle tego samego zagadnienia, z identycznego niemal tworzywa, z tego samego bólu i zmagania się wewnętrznego, co „Wesele". Odbija się to i w kompozycji dzieła, tak znacznie w I akcie „Wesela" i pierwszej części „Oziminy" podobnej, i w tem, że głównym nurtem treści obu tych dzieł jest pierwiastek sytyryczny, już nie surowa nawet krytyka, ale ostra, chłoszcząca satyra.

Tło obyczajowe obu tych dzieł jest chronologicznie niemal to samo, kilka lat tylko dzieli czas akcji tych dzisiaj prawie historycznych utworów. Zjeżdża się na „Wesele" miejska inteligencja i miesza z ludem wiejskim, aby się wciąż zdradzać swoją małością, brakiem inicjatywy, apatycznością — schodzą się na biesiadę duchową w rojne salony przypadkowi przedstawiciele „Oziminy", by w rytm pierwszorzędnego przyjęcia wpleść poważniejszą myśl i troskę o dobro ogólne (cele społeczno-humanitarne) i zdradzić się tu i tam haniebnie swoją słabością wewnętrzną, kabotynizmem, marazmem, wobec czujnego na każdy pokątny szept autora. I trwa ten bezruch, to tragiczne, przez polskich twórców oryginalnie przedsięwzięte zatrzymanie akcji, dopóki środowisk w utworach tych odtworzonych nie poruszy potęga chwili, wielkość wydarzenia dziejowego, potrzeba działania... To mniejsza, że w dramacie fantastycznym „Wesela" tym momentem jest pojaw Wernyhory, symbol złotego rogu wręczającego gospodarzowi, a w powieści realistycznej „Oziminy" wybuch wojny japońsko-rosyjskiej i początek wydarzeń rewolucyjnych, bo jest to wynikiem odmiennego gatunkowo charakteru tych dzieł, ale od tego przełomowego momentu zaczyna się główna ich akcja, w powieści Berenta wiążąca się z rozcięciem romansowego wątku, w obu dziełach ściśle tragiczna, bo z winy bohatera—społeczeństwa wypływająca.

Możnaby dalej jeszcze rozważać tkwiące w obu dziełach analogje, przechodząc czy to poszczególne postaci, czy stosunki wzajemne i międzywarstwowe, czy symbolikę wreszcie (chochół i statuetka Murzyna z „Oziminy") — lecz są to rzeczy bardzo wyraźne i nie chodzi tu o wykazanie ewentualnych zależności dzieła Berenta od wcześniejszego „Wesela". Należy tylko przypomnieć z racji niedawnego wydania „Oziminy", że oba dzieła wyniknęły z podobnych pobudzeń twórczych, genetycznie się wiążą ze sobą, ogólnym zarysem i niektóremi szczegółami ściśle splatają i są ogniwami, bezpośrednio o siebie zaczepionemi tego łańcucha, który idzie przez literaturę naszą od w. XVI przez rozliczny tłum dzieł i arcydzieł, coraz szerszy, coraz tragiczniejszy, jak dola narodu przed wyzwoleniem.

ADAM SZCZERBOWSKI

*) Wacław Berent. Ozimina. Powieść. Wydanie drugie. Poznań.

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO

Zamieszczamy dzisiaj drugi fragment szkicowego studjum Wacława Sobieskiego, prof. Uniw. Krakowskiego, autora niedawno wydanego świetnego dzieła „Dzieje Polski". Kwestja „skrzydeł i pęt ducha polskiego" jest zagadnieniem, które każdy Polak w sobie przetrawia, o ile pragnie dojść do jakiej takiej świadomości dziejowej. Mierzymy siły własne, zmagamy się z trudnościami zewnętrznemi, ale bodaj w większym stopniu ze swojem „ja". Czem my jesteśmy, do czego zdolni? Co pęta nasze siły i zamiary? Co mamy zmienić w sobie przez wychowanie? Te pytania trapią nas choćby nie formułowane, zaznaczając się w duszy podświadomie, w samym niepokoju, w niepewności ruchu, często w wątpieniu. To też wdzięczni jesteśmy historykom, którzy teraz więcej uwagi poświęcają psychologji narodu. Po broszurze prof. Tymienieckiego z Poznania, którą niedawno notowaliśmy, praca prof. Sobieskiego jest drugą próbą wyświetlenia charakteru polskiego.

*

Wybitny pisarz, uczony i publicysta dr. Władysław Kozicki, mianowany został profesorem historji i sztuki nowożytnej na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie.

Prof. Wł. Kozicki wydał szereg studjów z zakresu krytyki sztuki plastycznej m. in. „Św. Sebastjan, studjum porównawcze z dziejów sztuki włoskiej" (1906) „Michał Anioł" (1908), „*Entwicklung der Malerei und Bildhaurei in Polen*", „Henryk Rodakowski"(1924) i inne. Jest również cenionym powieściopisarzem i dramaturgiem.

U SŁOWIAN

Wyszedł, jak zwykle, bardzo opóźniony IV zeszyt sofijskiego „Głosu Słowiańskiego" (*Sławjnaski Głas*) za r. 1925. Numer poświęcony jest w całości jubileuszowi 25-lecia „Towarzystwa Słowiańskiego w Bułgarji", którego pismo to jest właśnie organem. Zeszyt (112-stronicowy) przynosi: Przemówienie na jubileuszowem zebraniu prezesa T-wa Słowiańskiego, znakomitego uczonego bułgarskiego prof. S. S. Bobczewa, szczegółowy opis uroczystości sofijskiej w dniach 5—7 grudnia 1925 r. (por. lwowskie „Słowo Polskie"

№ 20 z r. 1926 i „Myśl Nar," № 1 z r. 1926) i treść listów i telegramów gratulacyjnych (z Polski 23). Na uroczystość jubileuszową niestety, nikt z wielu zaproszonych z Polski gości nie przybył; Czesi, Rosjanie, Chorwaci, nawet Łużyczanie wysłali delegacje — brak było tylko nas i Serbów.

*

Podwójny (3—4) zeszyt za marzec i kwiecień praskiego miesięcznika „Przegląd Słowiański" (*Slovansky Prehled*) przynosi na 144 stronach niezwykle zajmującą treść. Na pierwszem miejscu zakończenie znakomitego studjum min. Benesza o „Zagadnieniach polityki słowiańskiej" (IX Słowiańszczyzna i Słowianie w czasie wojny i po wojnie światowej), następnie ciąg dalszy histor. szkicu Em. Janouska „Polska a wojna światowa" (lata 1905 — 1914), prof. Marjan Szyjkowski pisze o „Najnowszych kierunkach współczesnej poezji polskiej", następnie dokończenie monografji Dr. Prohaski o powieści i noweli chorwacko-serbskiej, dalej znakomity znawca spraw Rosji Dr. Jan Slavik pisze o przyczynach ros. rewolucji marcowej, wreszcie Dr. J. Poliwka, opisuje „Jubileusz Akademji Rosyjskiej w Leningradzie". W przeglądzie polityczno-kulturalnym życia narodów słowiańskich najobszerniejszy jest dział polski; bardzo zajmujący jest też dział łużycki, gdzie czytamy o ciężkich zmaganiach łużyckiego ruchu narodowego z coraz bezwzględniejszym naciskiem niemieckim.

*

Wychodzący w Budziszynie łużycko-serbski dziennik „*Serbske Nowiny—dźenik za serbski lud*" (r. 85) jest najlepszem zwierciadłem duchowego życia uciskanego narodu Serbów łużyckich. W ostatnim czasie zanotować należy utworzenie się łuż. serbs. przedstawicielstwa narodowego, zw. „Serbska rada ludowa", które wywołało burze napaści ze strony prasy niem. (zwłaszcza „*Bautzener Tageblatt*"); wysłanie delegacji na zjazd mniejszości narodowych do Genewy poczytano Serbom łuż. wprost za zdradę stanu, mimo, że „Serbska rada ludowa" ogłosiła oficjalną deklarację lojalności „*Za werność*" („*Serbske Nowiny*" № 27); Serbom łużyckim chodzi w istocie jedynie o autonomję kulturalną i szanowanie ich praw do nauki języka ojczystego. Naród polski, który zna dobrze niebezpieczeństwo niemieckie, powinien udzielać moralnego poparcia swym braciom w Łużycy.

*

Sa pisarze co twierdzą, że „ukraiński teatr" istnieje już 300 lat. Tego zdania jest D. Antnowycz, który niedawno wydał w Pradze pracę p. t. „*Trysta rokiv ukrajiśkoho tyatru* 1619—1919". Początek tego teatru „ukraińskiego" ustala on w ten sposób, że w roku 1619 miano w Kamionce Strumiłowej (pod Lwowem) odegrać misterjum polskie o śmierci św. Jana Chrzciciela, do którego dodano dwa interludja w gwarze małoruskiej.

TEATR

ŁATWIEJ PRZEJŚĆ WIELBŁĄDOWI...

O KOMEDJACH francuskich pisano niejednokrotnie, że smakują jak wino. O czeskiej komedji Franciszka Langera granej obecnie w teatrze Małym możnaby rzec, że... pachnie mlekiem. Woń nabiału bije od sceny zwłaszcza w trzecim akcie, który rozgrywa się w mleczarni. Jest to woń zdrowa. Pachnąca nią komedja nie oszałamia ale posila.

Rzadko się zdarza widzieć w dzisiejszych czasach utwór sceniczny, w którym ludzie marzą o tem, żeby mieć dzieci. Dzieci wyszły z mody. Nowsze komedje europejskie bywają przeważnie bezdzietne *ergo* jałowe. Utwór Langera tem właśnie jest oryginalny, że macierzyństwa się nie wstydzi i że na ten temat pozwala sobie poetyzować.

Kraj, który produkuje takie komedje robi wrażenie, że jest spokojny o przyszłość. Utwór p. Langera powinien zostać czemprędzej przetłumaczony na język francuski i wystawiony staraniem tych lig i związków, którym leży na sercu wzmożenie przyrostu ludności.

Bardzo dobrze się stało, że wystawiono go u nas, gdzie sztuka czeska jest niemal zupełnie nieznana. Zapoznanie się z komedją pana Langera budzi chęć poznania innych dzieł czeskich.

Sztukę wystawiono starannie i grano na premjerze koncertowo.

SIGMA

NA MARGINESIE

W niedzielę 18 b. m. odbyło się w Warszawie uroczyste otwarcie Polskiego Radio. Powstała nareszcie w Warszawie stacja nadawcza, z której na cały świat zacznie się rozchodzić dźwięk mowy i melodji polskiej. Że wynalazki tworzą w dziejach przełomy epokowe, mogliśmy odczuć, gdy dyrektor stacji odezwał się w świat, otwierając rozmowy: „Do was się zwracamy rodacy, gdziekolwiek jesteście, w Europie, czy za oceanem. Będziemy odtąd co wieczór, według zgóry zapowiedzianego programu, komunikować się z sobą żywem słowem". Moment zaiste wzruszający.

Ponieważ stacja ma charakter państwowy, pierwsze w programie miejsce przeznaczono rządowi. Min. oświaty Grabski wyłożył znaczenie instytucji i wynalazku, poczem czekano na premjera Skrzyńskiego. Ale na oznaczoną minutę nie przybył. Czekano nie tylko tutaj, ale na całym świecie. Spóźnił się o 15 min. Nikt pewno nie domyślał się, co było przyczyną opóźnienia. Oto ważyły się losy rządu. Odbywała się narada, na której socjaliści wypowiedzieli swój udział w rządzie koalicyjnym. Przesilenie w chwili najmniej odpowiedniej. Już wszystkie kombinacje partyjne wyczerpane, większości niema. Socjaliści domagają się wydania im głowy min. skarbu i maszyn drukarskich. Obojętny im jest los budżetu, waluty, państwa. Chcą podobać się masom, że nie zniosą oszczędności. Dzieje się to w chwili napawającej pesymizmem co do stosunków w polityce zagranicznej, zwłaszcza, gdy się stawia wszystko na Genewę i Locarno.

Premjer Skrzyński się spóźnił, bo właśnie dowiedział się, że jest zachwiany, że jutro rząd może się rozsypać. Idąc do Radio, takie dawał wyjaśnienia dziennikarzom. A gdy stanął przed aparatem, zebrał się w myślach i powiedział po polsku do słuchających go na całym świecie rodaków:

— Szanowne słuchaczki i szanowni słuchacze. Oto jesteśmy w swojem kole. Przedstawcie sobie, że gawędzimy po wieczerzy przy kominku. Powiadają, że jestem szczęśliwy w polityce, inni mówią, że jestem optymistą. A ja powiadam: jestem szczęśliwy w polityce, dlatego, że jestem optymistą. Sz. słuchaczki i słuchacze — tylko optymizm. Czy nie widzicie, jak szczęsnego dożyliśmy losu, jak wszystko dobrze się dzieje. Wstając rano na widok pięknego dnia pomyślcie, jakie szczęście jest naszym udziałem...

Świat się wypogodził na tę piękną melodję słowa polskiego. Słuchaczki i słuchacze spoglądali po sobie, jakąby ta melodja treść miała. A niejeden dodał pytanie, czy p. Skrzyński naturę ma tak melodyjną, czy tylko politykę?

*

Minister Skrzyński załatwił w Pradze rozmaite sprawy, związane z naszym stosunkiem do Czech. Zadanie ważne. Ale obok ważnych zadań politycznych są inne, od których też zależy szczęśliwość Polski. Otóż ciekawi jesteśmy, czy p. Skrzyński śród swoich wizyt nie znalazł paru godzin czasu na zwiedzenie słynnej Akademji Pracy im. Masaryka, tej instytucji, która już dała Czechom nieocenione pożytki, a której my w Warszawie nie sprawiliśmy jeszcze ani jednego sprzętu i zdobyliśmy się zaledwie na oklaskiwanie niezmordowanych i małoowocnych wysiłków prof. Adamieckiego i inż. Drzewieckiego. Jesteśmy poniekąd usprawiedliwieni z tej obojętności łagodzącą okolicznością, że „carskoje ziercało" socjalizmu, umieszczone na stołach naszego rządu, jest przeciwne naukowej organizacji pracy, ale skoro już Poznań odważył się na stworzenie Biura Porady Zawodowej, to możeby i Warszawa... Bardzo ośmieliłby ją min. Skrzyński, gdyby na końcu swego sprawozdania w Sejmie powiedział: Poznałem w Pradze Akademję Pracy i wierzcie mi panowie, że dla stworzenia podobnej instytucji u nas warto byłoby zredukować do połowy liczbę posłów, lub uszczknąć coś z wydatków na administrację Kasy Chorych.

*

Bardzo znamienne są apoteozy, urządzane na pierwszej stronie „Wiadomości Literackich" wybitnym osobistościom polskim. W poprzednim n-rze mieliśmy portret prof. Wł. Witwickiego, w ostatnim prof. Marjana Zdziechowskiego, który jest antypodem tamtego. Bywały na tej stronie pokazywane już, ile pamiętamy, oblicza Baudouina de Courtenay, Lednickiego — zawsze w superlatywie. Jakaż jest wspólna podstawa tego wymiaru wielkości? Wywiad z rektorem Zdziechowskim kończy się wyznaniem: „Nigdzie zaś nie znajduję tak potężnego rozmachu, jak w poezji hebrajskiej"... Zapytany o Reymonta odpowiedział, że nagroda Nobla dana mu była za artyzm. Według intencji fundatora nagrody powinna być nadana „za ducha zgody i idealizmu", a więc np. Orzeszkowej. (Oczywiście ze za „Meira Ezofowicza"). Zapytany o politykę powiedział, że dwie doktryny podcinają u korzenia podstawy kultury: komunizm i nacjonalizm. Co do komunizmu ma na myśli tylko ten rosyjski materjalistyczny i nihilistyczny. Nacjonalizm potępia bezwzględnie. Żydzi z „Wiad. Lit." chętnie schodzą na grunt dyskutowania o religji, aby tylko się zejść i z tym odłamem swych aryjskich niewolników w walce przeciwko nacjonalizmowi. Z prof. Baudouin de Courtenay zejdą się na gruncie ateizmu. Aby handel szedł.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2 gie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 8, rocznie zł. 30, za granicą kwart. zł. 12. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. „A. Michalski“, sp. z o. o., Warszawa. Chmielna 27. Telefon 27-15.